

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 44.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, ¹⁶/₂₈ lipca 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3 — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TRESC NUMERU.

Stanisław Staszic (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Z Dorpatu (z trzema drzeworytami). — Krasiczyn nad Sanem w Galicyi (z drzeworytem). Ruiny katedry w Włodzimirzu (z drzeworytem). — Działa polskie z XVII wieku (z trzema drzeworytami). — Legendy i wieszczona ludu ukraińskiego. — Szachy. Rebus. — Ostatni z Koszyców, podanie litewskie z przeszłego wieku (dokonczenie). — Doniesienia.

Stanisław Staszic.

Rzadko napotkać pomiędzy mężami zasłużonemi naszej ojczyźnie człowieka, coby jak Staszic, z nizkiego stanu, nie drogami ubocznymi, ale mozolną i niezmordowaną pracą, prawem postępowaniem, doszedł wysokiego znaczenia w kraju i znakomitej fortuny; ale nierównie jeszcze rzadziej znaleźć takiego, coby osiągnąwszy te dobra ziemskie, nie upadł pod ich brzemieniem i przez pół wieku wytrwał w cnocie, przez pół wieku gromadził skarby nauki i zasoby pieniężne, aby je przy śmierci krajowi i ziomkom przekazać.

Współcześni nie pojęli tej duszy gorąco kraj miłującej, nie umieli uchwycić punktu z jakiego on zapatrywał się na szczęście swych współrodaków, posądzali go o dumę, przedrwiwali skąpstwo, zarzucali nawet że źle życzył rodzinnej ziemi; a jednak wieść o jego śmierci żałobą pokryła kraj cały, a nieprzyjaciele za życia, dobijali się o szczęście niesienia zwłok jego na miejsce wiecznego spoczynku. Razem ze skonem zasłużonego ziomka, skonały niechęci i uprzedzenia; gasnąca pochodnia życia, zagasiła doczesne nienawiści.

Stanisław Staszic, syn mieszczanina, burmistrza małego miasteczka Piły w Wielkopolsce, urodził się w r. 1755, w chwili kiedy spieszonym krokiem kraj chylił się do upadku, zapóźno aby powstrzymać wir niezblaganych wypadków, ale dość wcześnie aby zbadać przyczyny które je wywołały.

Sam doświadczył na swój rodzinie gwałtów niepowsięganej swawoli możnych, których o mało ojciec jego nie padł ofiarą. niesprawiedliwość wyrządzona miasteczku Piły przez starostę Cieńskiego, tak żywo

uderzyła wyobraźnię młodzieńca, że całe życie oburzał się na samą wieść o wyrządzonej komu krzywdzie i chętnie zawsze poświęcał się obronie uciskniętych.

Piérwiastkowe wychowanie odebrał w kierunku zawodu jaki mu przeznaczono od dziecka. Matka jego, kobieta pobożna, za najwyższe sobie poczytywała szczęście, aby ulubionego Stasia mogła kiedyś oglądać księdzem, a chociaż nie czuł powołania do tego stanu, jednak poszedł za wolą matki. Po śmierci

letni w Paryżu i poznanie tam uczonych naturalistów owej epoki, zasmakował w umiejętnościach przyrodzonych. Zaniechał tedy nauk teologicznych, a chciwy wiedzy, puścił się przez Alpy do Włoch, usiłując po drodze sprawdzić to, co z ust Buffona o tworzeniu się świata niejednokrotnie słyszał. Słowa mistrza nie zadowolily ucznia, badania naoczne wyświeciły niedokładność teorii, i wtedy zrodziła się w duszy Staszica myśl poprawienia tych usterków, która później dojrzała i wcieliła się w dzieło *O ziemiorodztwie gór dawniej Sarmacji*.

Zebrawszy zapasy nauki na polu umysłowem, wrócił młody badacz do ojczyzny, niosąc jej w ofierze plony prac swoich. Żywa wyobraźnia młodzieńcza śmiało tworzyła zamysły. Mniemał że przyjmą go z otwartymi rękoma, że dadzą mu stanowisko, na którym będzie mógł pożytecznie działać dla szczęścia rodaków. Ale smutna rzeczywistość rozproszyła wkrótce marzenia Staszica. Nie wiedział że prawa krajowe, nim mu pozwolą pracować na korzyść ziomków, zapytają wprzód jaka krew w żyłach jego płynie? Przesady udaremniły gorliwość młodziana. Staszic posiadał zdolności i naukę, mógł być użytecznym krajowi — ale... nie był szlachcicem, a co gorsza nie umiał płaszczyć się tym, którzyby mogli te zapory przełamać. Dosyć przeczytać autobiografią jego, aby uczuć jakiej doznał goryczy, kiedy mu wydarto nadzieję służenia rodzinemu krajowi.

Odepchnięty i wzgardzony, oddał się naukom i na ich łonie szukał osłody po ciężkim zawodzie. Wkrótce też znalazł sposobność do pracy użytecznej w zakresie życia prywatnego, kształcąc umysły i serca synów znakomitej rodziny. Wybicki, poznawszy zdolność Staszica, wprowadził go w dom Zamojskich, i Andrzej Zamojski, kanclerz-ordynat, powierzył mu wychowanie swych synów, Aleksandra i Stanisława.

Z zapalem rzucił się Staszic do tej nowej dla siebie pracy, której z całą oddała się gorliwością, a w chwilach wytchnienia zbierał nowe skarby, czerpiąc w rozumie, doświadczeniu i cnotach starca wylanego dla szczę-



STANISŁAW STASZIC. (Podług portretu z natury R. Hadziewicza.)

jój, odebrawszy szczupły spadek, udał się za granicę, dla kształcenia się w teologii; ale przez pobyt dwu-

wytchnienia zbierał nowe skarby, czerpiąc w rozumie, doświadczeniu i cnotach starca wylanego dla szczę-

ścia kraju, ciesząc się jego przychylnością i opieką. Dwadzieścia lat przebył w tym domu, a przez ten czas zebrał ów zasób pomysłów dla pomyślności kraju, które później, dostąpiwszy świetnego stanowiska, w życie wprowadzał.

W ciągu tego czasu przyjął święcenia kapłańskie i uzyskał prezentę na probostwo w Turobinie. Ale czynny umysł Staszica nie mógł na cichych obowiązkach plebana poprzestać. Kilkuset parafianów nie wystarczało tej gorącej duszy, pragnącej miłością kilkanaście milionów ogarnąć: zrzekł się prebendy i powrócił do ulubionych zajęć pedagogicznych i literackich.

Staszic, czując niepewstrzymany pociąg do pióra, najprzód obce tłumaczył prace, a dopiero w 30 roku życia wydał pierwsze dzieło oryginalne, które niemałej narobiło wrzawy. Mówimy tu o jego *Uwagach nad życiem Jana Zamojskiego*. Naprózno w nim czytelnik szukał zajmujących szczegółów z żywota wielkiego męża; Staszic użył tej pracy tylko za pozor do wypowiedzenia ostrych prawd tym, którzyby ich bez zaprawienia miodem słuchać nie chcieli.

Świetny stan kraju za Zygmuntem i Batorego, stał w rażącym z teraźniejszością przeciwieństwie. Młody więc pisarz starał się zwrócić uwagę publiczną na straszliwy nieład w Rzeczypospolitej, który zaślepieni, złotą nazywali wolnością. Potrzeba gruntownej poprawy praw, rządu, wychowania, słowem całego rozpadającego się organizmu państwa, była niezbędna.

Już Konarski w dziele: *O skutecznym rad sposobie* pierwsze przełamał lody, chociaż ściągając za to na siebie mnóstwo nienawiści. Lepiej ocenionem zostało pismo Staszica, przyjaźniej a silniej wpłynęło na przygotowane przez Konarskiego do reform umysły, i nowa ta praca, najwyżej prawie ceniona ze wszystkich dzieł Staszica, nie miała wpływu wywarła na pamiętne najbliższego sejmku uchwały.

W czasie owego sejmku bawił nieprzerwanie przez lat cztery w Warszawie, a kiedy widział zabiegi niegodnych fakcyj, kiedy z boleścią widział paraliżowanie najlepszych chęci, trwożny o ducha stanowionych praw, lękając się ich skrzywienia, uchwycił za pióro i napisał *Przestrogi dla Polski*. Nie mamy dość miejsca ażeby bliżej rozpatrzeć się w tej nowej pracy Staszica; ale pragnących poznać z niej autora, jego porywającą wymowę, miłość dla kraju i prawdy, oburzenie przeciwko fakcyom usiłującym skrzywić drogi sejmku, odsyłamy do niego. Że publikacja ta silnie oddziaływała na sejmujących, ustanowione prawa dotyczące urządzenia stosunków włościańskich, zgodne z zapatrywaniem się Staszica, jawnie dowodzą.

Wkrótce po ogłoszeniu głównej uchwały sejmku, powrócił Staszic do Zamościa z ordynatem. W lutym 1792 r. kanclerz dokonał życia, a pozostała wdowa włożyła ciężar opieki nad dziećmi swemi na barki Staszica, który na mocy tego prawa nie dopuścił synom Andrzeja wyjeżdżać za granicę, lecz pragnął ażeby patrząc na sprawy kraju, obznajmiali się z jego potrzebami.

W czasie pobytu w Zamościu poznał ludzi najznakomitszych owej epoki; ale największe wywarł nań wrażenie książę Józef Czartoryski, stolnik litewski, którego filantropijne przekonania, poparte czynem, bardzo zgadzały się ze sposobem myślenia Staszica. Przykład jego zrodził w duszy naszego kapłana pomysł, który się później urzeczywistnił w założonym przezeń Towarzystwie rolniczym hrubieszowskim.

Ważne potem wypadki nastąpiły w kraju. Wkrótce po rozstrzygnięciu jego losu, starszy wychowawiec Staszica zażądał od matki, ażeby mu oddała ordynację. Żywe z tego powodu zaszły spory pomiędzy nauczycielem a uczniem, które dopiero śmierć młodego ordynata przerwała. Matka wyjechała do Wiednia, jako do stolicy państwa w którym już naówczas jej dobra leżały. Staszic towarzyszył wdowie swojego dobroczyńcy i z oszczędzonym długoletnią pracą kapitałem, wdał się w spekulację na papiery publiczne, zyskując na nich bardzo wiele, zebrane zaś kwoty składał w ręce pani Zamojskiej; był to związek późniejszego majątku Staszica. Wdowa po ordynacie na odbierane summy dawała mu proste rewersa, bez świadków i wszelkich formalności, a nawet pewnego razu, kiedy do dawnych 4000 dukatów, do-

łączył 2000, pani Zamojska rewersu nie przepisała, lecz tylko poprawiła czwórkę na szóstkę, z czego później urósł niezmierny dla Staszica kłopot. Ordynatowa umarła, a ordynacją zarządzał naówczas Kariski, osobisty nieprzyjaciel Staszica; gdy więc ten zażądał zwrotu pieniędzy, Kariski, widząc przemianę cyfr w rewersie, wypłaty odmówił i usiłował prawosć Staszica podać u ordynata w podejrzenie. Ztąd poszedł gorszący proces, prowadzony w Lublinie, dla obu stron niezmiernie przykry, i Bóg wie ileby jeszcze zmartwień przysporzył, gdyby nie śmierć ordynata Aleksandra. Nowy ordynat, Stanisław Zamojski, na przedstawienie teścia swego, księcia Czartoryskiego, generała ziem podolskich, należytość Staszicowi wypłacił, a tak ów proces umorzonym został.

W końcu zeszłego stulecia Staszic został kancleżem kollegiaty szamotulskiej i posiadając znaczny już majątek, gdy rząd austriacki starostwa rozprzedawał, zakupił starostwo hrubieszowskie za kilkakroć sto tysięcy, i przepędzając czas na nauce i zajmowaniu się losem swych poddanych, nie mogąc służyć inaczej krajowi, w ustroniu tém zamieszkał, dopóki go Towarzystwo przyjaciół nauk do swego nie powołało grona.

Tu kończy się pierwsza część żywota Staszica. Dotąd znamy go tylko jako człowieka pełnego najlepszych chęci dla kraju, lecz nie mogącego swoich pomysłów urzeczywistnić. Odtąd zaczyna się jego żywot publiczny, w którym aż do śmierci niezmqdowaną rozwijał czynność i z największym pożytkiem służył krajowi.

Rzucone przez Konarskiego nasiona przyszłej edukacji publicznej, zeszedłszy w ciągu panowania Stanisława Augusta, nie mogły się jednak należycie rozwinąć i w potężne wystrzelić drzewo.

Nie sprzyjała także ich rozwojowi epoka jedena-stoletnich rządów pruskich, a niemało też szkody przyniosła w tym względzie Francja. Tłumy emigrantów rozproszyły się po całym kraju i po domach zamożniejszych objęły kierunek wychowania młodzieży. Płytkie głowy, unosząc się nad dowcipem, wolteryanizmem i polorem powierzchownym niedobitków wersalskiego dworu, wydrwiwały barbarzyński sarmatyzm, obalamucone zamiłowaniem francuzczyzny. Boleli nad tém znakomici w kraju mężowie, i gromadząc się u ks. Albertraudego, biskupa zenopolitańskiego, radzili jak zapobiedz ostatniemu upadkowi rodzinnej mowy. Tamto zrodził się pomysł zawiązania Towarzystwa przyjaciół nauk, który też wkrótce, uzyskawszy sankcją królewską, wszedł w życie. Powołano do jego grona wszystkich, którzy mogli dla pomyślności kraju być pożyteczni, a jednego z najpierwszych Staszica.

Odtąd nie szczędził Staszic ani trudów ani majątku, aby podnieść nową instytucją. Jeżeli wszyscy obywatele kochający kraj pospieszali z pomocą dla towarzystwa, to Staszic starał się ofiarami i gorliwością wszystkich przewyższyć. Aby posiedzenia towarzystwa nie zależały od łaski prywatnych, najął mu początkowo za własne pieniądze dom w Warszawie na Kanonii, ofiarował swój księgozbiór i gabinet narzędzi fizycznych, wydawał kosztem swym prace towarzystwa; nakoniec, pragnąc aby posiadało dom własny, zakupił gmach po dominikanach obserwantach, przerobił go wspaniale i towarzystwu ofiarował (dzisiejsza akademia medyko-chirurgiczna). Zapisał także 70,000 złp. na wystawienie pomnika Kopernikowi.

Ale jeżeli wspierał tę instytucją zasobami pieniężnymi, nie szczędził jej i pomocy umysłowej. Odbyswał podróże do Karpat, badał ich układ geologiczny i na każdym prawie posiedzeniu doroczném udzielał prac swoich ziomkom.

W czasie tych wycieczek, poznał dokładnie bogactwa zamknięte w łonie rodzinnej ziemi, i naówczas to powziął zamiar rozwinięcia górnictwa krajowego, którego później tak szczęśliwie dokonał.

W r. 1808, po śmierci ks. Albertrandego, towarzystwo wdzięczne Staszicowi za tyle trudów około jego wzrostu podjętych, jednomyślnie ofiarowało mu krzesło prezesa. Odtąd zaczyna się nowa epoka dla owego zgromadzenia, odtąd członkowie jego, porwani prądem gorliwości nowego prezesa, usiłowali wpływ swój rozszerzyć i upożytecznieć dla całego kraju; zaczęto ogłaszać nagrody za rozprawy w najważniejszych kwestiach, dotyczących pomyślności powstającego księstwa, jako to: wychowania publicznego,

uszlawnienia rzek i połączenia ich między sobą, zapobieżenia zarazie bydłczej, polepszenia stanu mieszkań włościańskich i t. p.; zaczęto stosować wiadomości do życia praktycznego, starać się o wytepienie nędzy i podniesienie dobrego bytu mieszkańców. Staraniem towarzystwa nakoniec, które ogłosiło nagrodę w złotym medalu dla założyciela najpierwszego instytutu głuchoniemych w Warszawie, powstała myśl utworzenia tego zakładu w stolicy, którą później ks. Jakub Falkowski urzeczywistnił.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Przez miesiąc lipiec,
Można się dobrze przypiec.
Przez miesiąc sierpień,
Sporo różnych cierpień.
Za to przez wrzesień
Ulży się kieszeń.

Czytałem gdzieś powyższą charakterystykę miesięcy letnich i nieraz myślałem nad jej znaczeniem. Już to o przypieczeniu się w lipcu, to da się jeszcze pojąć, chociaż w tym roku niema niebezpieczeństwa, z powodu pochmurnej aury, jak powiada Kurjer, bo choćby słońce przypaliło, to deszcz zagasi zaraz. Że we wrześniu łatwo ulży się kieszeń, to pochodzi, jeżeli się nie mylę, z powodu że mniej więcej wszyscy wówczas myślą o powrocie z zagranicy, a każdy wraca z kieszenią o ile możliwości wypróżnioną na garderobę i różne fatalaszki, któremi Niemcy hojnie nas zaopatrują, w zamian za nasze dobre pieniądze. Potwierdza to nawet znany wiersz pewnego podróżnika polskiego, napisany przy pożegnaniu wód marienbadzkich i zostający tam dotychczas jeszcze na pamiętkę:

Żegnaj cię już nareszcie, nimfo tych strumieni!
Chcę zyskać ulgę w zdrowiu, przybyłem tu z mody;
Uczułem wielką ulgę. ... lecz tylko w kieszeni.
Niech wszyscy diabli porwą marienbadzkie wody.

Trochę to za energicznie, ale może i wiele prawdy jest w tém, bo w naszym własnym kraju znajdzie się mnóstwo wód niemniej skutecznych, a daleko mniej kosztownych. Ale porzuciwszy te doktorskie dyssertacje i odsyłając ciekawych do gazet, które w tym roku niemało artykułów o wodach krajowych napisały, wracam się do wiersza zamieszczonego na początku kroniki, i zapytuję szanownych czytelników czy mnie któren nie zechce objaśnić, jakich to cierpień mamy się spodziewać w sierpniu, który już za kilka dni nadchodzi. Te cierpienia zawsze mnie przstraszały, jak wszystko co nieznanne. Wprawdzie rozpatrzywszy się trochę w życiu i widząc jakie każdy rok czyni zmiany w istnieniu mojem i wielu z tych co mnie otaczają, wziąłem sobie za niezachwianą dewizę ów bardzo filozoficzny frazes: „Trochę cierpliwości, a będzie gorzej.“ I mogę powiedzieć że nigdy się na tej dewizie nie omylił, bo na naszym Bożym świecie już za Adama było źle, a odtąd ciągle się czasy pogorszają; jeżeli zaś nie wierzycie, spytajcie się starych ludzi, oni wam stwierdzą prawdę słów moich, bo zwykli mawiać że za ich czasów wszystko daleko lepiej się działo. Ale to wszystko nie tłumaczy mi owych specjalnych cierpień, które nas w przyszłym miesiącu oczekują, i sądzę że te wiersze musiał chyba jaki chrześcianin turecki, Bulgar albo Maronita, wymyślić, bo im naprawdę na coraz większą biędę się gotuje, jeżeli oświec francuzka w porę nie przyjdzie. No prawda że i sprawozdawców tygodniowych możnaby przez sierpień do chrześcian tureckich porównać, z powodu moralnych cierpień jakie sobie zadawać będą musieli, żeby wyłatać zwykłe sprawozdania przez ten miesiąc posuchy.

Nie dziwcie się więc, że przybywszy w tak smutném usposobieniu umysłowém na przedstawienie Diany de Solanges, opery świeżo wystawionej w naszym teatrze, nie mogłem bardzo zagustować w jej muzyce. Jako profan, sądzę operę po wrażeniu jakie ona czyni na mnie, błędów nie szukam, bobym ich i znaleźć nie umiał, muzykę przeszłości od muzyki przyszłości, uczoną od nieuczonej nie podejmuję się rozróżnić. Ale jeżeli mi coś przemówi do serca, jeżeli utkwii w pamięci jeden lub drugi kawałek z za-

słyszanych melodyj, to już wdzięczny jestem kompozytorowi i sądzę że dobrze zasłużył się publiczności, biorąc z własnego wrażenia, miarę wrażenia innych.

Wprawdzie pisywałem i ja dawniej recenzje muzyczne, przyznając to bijąc się w piersi, ale były to wówczas jeszcze inne czasy, inne czasy zupełnie. Nie zagęściło się wówczas jeszcze u nas tyłu uczonych krytyków muzycznych, ilu ich teraz na każdym kroku spotykamy. Zdawano sprawę z ogólnego wrażenia, ale nie rozbiegano jak teraz każdego tonu, każdej części orkiestracji, każdej nuty właściwie czy nie umieszczonej. Nie wyrobił się jeszcze ten prawdziwie farmazoński język, z wyrazami włoskimi, wszczepionymi w rodzinne narzecze, co wszystko może być dobre i zrozumiałe dla muzyków z professyi, ale na zwykłych czytelnikach robi mniej więcej ten sam skutek, co programata wyścigów konnych, pisane z angielska, wraz z temi tytułami, do których przez kilkanaście lat nie mogliśmy się jeszcze przyzwyczaić i podobno nie przyzwyczaimy się nigdy. W on czas tedy pisywałem recenzje muzyczne, a ponieważ nie pamiętam żebym kiedykolwiek w muzyce był ucześniejszym jak dzisiaj, brałem się do tego w sposób jaki poniżej opiszę.

Trzeba wam wiedzieć że żył jeszcze pod te czasy, na pociechę ludziom lekkiej myśli i wesołego usposobienia, nieodżałowanej pamięci chirurg filozofii i ramotkarz August Wilkoński. Z nim tedy razem założyliśmy pismo, a ponieważ, jak to zwykle między literatami, funduszków wielkich nie było na opłacanie współpracowników, musieliśmy nieraz łątać się i brać na siebie obowiązki niezawsze zgodne z naszym naukowym usposobieniem. W tém tedy piśmie czuć się dawała konieczna potrzeba recenzenta muzycznego, a tu ani rusz, żaden nie czuje się na siłach. Wilkoński deleguje mnie, jak to zwykle bywało, kiedy mu się nie chciało czego robić, ja zaś odpowiadam że jestem nieuk w tym względzie i że się powstydzę przed czytelnikami.

— Nic nie szkodzi, rzecze Wilkoński, dam ci wyborną receptę, za pomocą której możesz się stać znakomitym recenzentem muzycznym, i nikt przeciw sprawiedliwości zdań twoich nie będzie reklamował. Mam tu w Warszawie na urzędowaniu pewnego dalekiego krewniaka; wyborny z niego urzędnik, ale posiada inny jeszcze bardzo ważny przymiot, o którym się bliżej przekonasz. Idź do niego i kup mu bilet na nową operę, a pamiętaj go usadowić przy sobie. Po każdym akcie wdaj się z nim w rozmowę i uważaj pilnie na zdanie jakie wydać będzie o muzyce. Jak ci będzie co chwalił, gań w piśmie co się zmieści, jak ci będzie co ganił, wynoś pod obłoki; niech to będzie ewangelią dla ciebie, a rękę że się nie omylisz. To jest wyborny znawca muzyczny *na wywrót*, a chociaż takich niemało w Warszawie, nie znam jednak nikogo, któryby go w tej sztuce przeszedł.

Zastosowałem się religijnie do recepty chirurga filozofii i przez długi czas dobrze mi z tém było. Pisywałem recenzje o wielu operach, i podziwiano trafność mego zdania, a powodzenie to winien byłem owe mu urzędnikowi, krewniakowi ś.p. Augusta. Wszystko jednak, niestety, musi mieć swój koniec. Kiedy dano pierwszy raz *Halke*, poszliśmy obaj na przedstawienie, i jakoś od razu widziałem, że memu towarzyszowi nie wpada to w ucho; krzywił się, jakby fotel na którym siedział był podobny do owiej beczki, w której Kartagińczycy Regulusa zamknęli. Próbowaliśmy nawet parę razy syknąć, ale go zagłuszyły oklaski. Nie doczekał jednak do końca przedstawienia; w środku trzeciego aktu wstał i wyszedł z krzeseł, przysięgając że już na żadną operę polską nie pójdzie. Korzystając z tak wyraźnego jego wyroku, napisałem o *Halce* recenzją, ile możliwości najbardziej pochwalną, i bardzo naturalnie nie minąłem się z prawdą. Ale od tego czasu urwały mi się recenzje muzyczne, ponieważ bowiem coraz częściej oryginalne opery polskie dawano, dawny mój towarzysz ani chciał wrócić do teatru, i bilety które mu przynosiłem wyrzucał za okno. Przestałem więc pisywać o muzyce, nie ufając własnemu przekonaniu. I co powiecie, na pierwszym przedstawieniu *Diany de Solanges* spostrzegłem znowu w krzesłach mojego znajomego, bijącego na gwałt oklaski, tak iż zdawało się że mu rekawiczki z wielkiego zapału popękają. Zanotowałem sobie w pamięci ten wypadek, i postanowiłem o nim

bezsronnie zdać sprawę przed czytelnikami Tygodnika, którzy niech sobie z tego sens moralny wyprowadzą, ja zaś z mojem własnem zdaniem wolę nie występować.

Za to śmiało już i bez żadnych orzeczeń twierdzić mogę, że nowopredstawiona w teatrze Rozmaitości tłumaczona z francuzkiego komedia *Zbytek*, należy do lepszych utworów nowej szkoły francuzkiej. Nie mówmy o osobistości autora (Lecomte), bo to nie należy wcale do rzeczy, i zresztą, gdybyśmy chcieli przy krytykach zarządzać śledztwa co do prywatnego życia piszących, smutneby nieraz z tego dały się wyciągnąć wypadki. Nam do tego nic, patrzymy na komedię i sądzimy ją. Nie przejdzie ona po za granicę obecnej chwili, chociaż za przedmiot wzięła wadę społeczeńską najbardziej obecnie rozgałęzioną, zbyt tam bowiem wiele miejscowości, zbyt specjalny opis cząstki towarzystwa tylko. Wielka komedia społeczeństwo całe ogarnia, ale podobno o wielką komedię trudno, bardzo trudno na te ciężkie czasy, a nie wywołują jej pewnie krytyki, które zamiast uczyć, dopomagają do pomieszania wyobrażeń. „*Zbytek*“ powinien się utrzymać na naszej scenie, tak z powodu zalet saméj sztuki, jak i dobrej gry artystów, którym w ogóle pochwała się należy.

Słyszeliśmy w tych dniach kilka części z opery pana Ferdynanda Dulckena, pod tytułem *Partya szachów*. Śliczna to zaprawdę i bardzo oryginalna muzyka, i żałować przychodzi że ta opera dotychczas jeszcze nie mogła być ukończoną. Pan Dulcken, jak wiadomo, ma już prawie gotową drugą operę pięcioaktową, w której treść do libretta wzięta z dziejów szkockich. Muzyka do *Verbum Nobile Moniuszki* (libretto Chęcińskiego) jest także podobno na ukończeniu, żałować jednak przychodzi że ulubiony kompozytor nie darzy nas jakimś dziełem poważniejszym i ważniejszym, w guście na przykład *Halki*, która tyle otrzymała powodzenia i dotąd podobno w wielu względach pierwszeństwo trzyma przed innymi. Taka muzyka jest pożądana od innych, które tak dla kompozytora jak i dla publiczności mogą wprawdzie stanowić wyborną zabawkę, ale nigdy nie zastąpią wielkiego dzieła, mogącego stanowić erę w muzycznej rodzinnej kronice.

PP. Gerson, Schoupe i Olszyński wybrali się w podróż do Karpat, mając zamiar przy tej pielgrzymce zwidzieć także inne godne uwagi okolice południowych prowincyj królestwa i Galicyi, a przytém tu i owdzie zawadzić o miejsca znane z nagromadzenia zabytków i pamiątek krajowych. Tego rodzaju podróże artystyczne po kraju bardzo są pożyteczne, i szkoda że od pewnego czasu wyszły one jakoś ze zwyczajaju. Dla pana Gersona zwłaszcza, szukającego źródła do rysunków hetmanów polskich, wycieczka ta będzie bardzo w porę i nowych a nieznanych przysporzyć mu może materyałów.

Pragnąłbym szczerze, wygadując żądaniu pana Dratewki, prenumeratora naszego Tygodnika, a właściciela zakładu obuwia, przyczynić się do wyjednania mu zwrotu kwoty jakiegoś starszemu emerytowi pożyczonéj. Wiadomo jednak iż na nierzetelnym dłużniku nie czyni żadnego wrażenia nawet papier stemplowany, który jest stokroć skuteczniejszy od wszelkich ilustracyj, choćby najlepiej odrobionych. Cieszę się że pan Dratewka czytuje Tygodnik, prawdziwego jego nazwiska wiedzieć nie pragnę, a fakt jaki przytacza nie powinien go odstręczać od czynienia dobrze wedle możliwości. Doniesienie pana A. T. o nagłym podniesieniu w dwójnasób lokalów w domu przy ulicy Freta, nie zawiera nic nowego, ani dla nas, ani dla naszych czytelników. Kilka już razy poruszaliśmy tę kwestyę, i tracimy nadzieję, żeby czyje wyrzekania mogły się na co przydać. Mnóstwo nowo budujących się domów lepszy zapewne wyrze skutek, od najstaranniej nawet napisanych artykułów dziennikarskich, a lokale stojące pustkami, mogą się stać najskuteczniejszym lekarstwem na zbytne wymagania właścicieli domów. Na zapytanie panny Eugenii, śmiało odpowiadam, że nie godzi się męża przez gazety poszukiwać, ani myśleć o zakładaniu u nas biur małżeńskich, na wzór zagranicznych. U nas dotychczas rzeczywisty ślub odbywa się w kościele, a nie u merów cyrkulowych; więcej téż ze strony religijnej i moralnej powinniśmy się zapatrywać na tę tak ważną zmianę w istnieniu naszym. Pośrednicy potrzebni są wprawdzie do kontraktu kupna i sprzedaży, ale

małżeństwo trudno jeszcze, przynajmniej u nas, za podobny kontrakt uważać. Inna zupełnie była rola dawnych swatów polskich, i nie można ich żadnym sposobem porównywać do wspomnianych biur małżeńskich. Z przykrością więc muszę odmówić pannie Eugenii zamieszczenia jej listu, żałując tylko młodzież z okolic przez nią zamieszkaných, że się na tylu szacownych przymiotach poznać nie umiała.

Z powodu kwestyi wytoczonej w zeszytygodniowej kronice, co do braku w handlach warszawskich drobnej monety, odebrałem kilka listów reklamujących od szanownych przedstawicieli stanu kupieckiego. Uważam więc za właściwe wyjaśnić, że daleki od chęci obwiniania ogółu, przytoczyłem pojedynczy tylko wypadek, pragnąc przez to wykazać potrzebę zaradzenia niedogodności, dającéj się tak dotkliwie we znaki w codziennych stosunkach życia.

Jeszcze o jednym fakcie wam doniosę, ale ten już miał miejsce zagranicą, gdzie obecnie tyłu rodaków naszych bawi. Jeden z tutejszych mieszkańców, znany z niezwykłej otyłości, skutkiem przepisu doktorów wybrał się do wód, ale naprawdę, nie na przejażdżkę i sprawuneczki, jak to u wielu, zwłaszcza tegorocznych prodróżników, ma miejsce. Stan zdrowia jednak zmusił go, nie dojeżdżając do miejsca przeznaczonego na kuracyę, zatrzymać się w jakimś miasteczku. Mnóstwo ludzi przejeżdżało tamtédy, bo wody te bardzo są uczęszczane. Rodak nasz, czując się zdrowszym, chciał już wyjeżdżać i zdziwił się niesłychanie, kiedy gospodarz hotelu w którym stanął, zbliżył się do niego i zaczął usilnie prosić, żeby jeszcze kilka dni pozostał.

— Czyś pan oszalał? zawołał nasz rodak. Nie mogę ani chwili tracić, jadę na kuracyę, jak panu przecie wiadomo.

— Ale daj się pan skłonić, przekładał gospodarz, już ja panu za pół ceny policzę lokal, jedzenie i wszelkie wygody w najgorszym razie dam darmo, byłeś jeszcze parę dni u mnie pozostał.

— Ale cóż pana u licha może skłaniać do takich ustępstw, bo wiem żeście do nich nieskorzy; musisz pan mieć w tém chyba jakiś interes?

— A tak... właśnie... mam interes i wielki.

— Jakiż, jeśli można wiedzieć?

— Oto że mnóstwo osób, przejeżdżając tędy, zatrzymuje się tu, żeby pana obejrzyć, i przez to moje dochody zdwojone.

— Jakto? mnie oglądać! Cóż oni sobie myślą, ci Niemcy? czy we mnie co tak szczególnego? Wszakżem człowiek jak inni.

— Owszem, odpowiedział grzeczny gospodarz, wielmożny pan lepiej jeszcze od innych wyglądasz, i w tém właśnie cała tajemnica. Kto tylko przejeżdża, pyta mnie się:

„Kto jest ten pan tak bardzo otyły?“

Odpowiadam:

„Jakiś pan polski, który przyjechał tu dla kuracyi.“

I wszyscy patrzą na pana zdziwieni, i jeden drugiemu mówi: „kiedy tak chorzy Polacy wyglądadają, jakżeż muszą zdrowi w ich kraju wyglądać.“

Z DORPATU.

Chwalebna jest zasada Tygodnika *Illustrowanego*, że będzie nam przedstawiał rzeczy czysto krajowe i nie oglądał się wcale na pisma zagraniczne podobnego rodzaju, które czerpią od siebie wzajemnie treść i rysunki; chwalebna to, powtarzam, zasada, bo oszczędza nam widoku obcych stron, obcych zwyczajów i ludzi, a pokazuje że i nasz kraj ma we wszystkich swoich punktach również piękne okolice, starożytne, wspańskie budowle i lud dzielny, ochoczy, wesoły, którego charakter dobitnie się rysuje czy to w skocznych mazurze, czy w krakowiaku, czy w tęsknej, rzewnej a melodyjnej dumce *Ukraińca*. Wpatrujemy się w twarze ludzi, którzy lada maleńkim gdzieś daleko czynem zasłużyli sobie na biografię i stokratne uwiecznienie w rysunku, a nie znamy życia i rysów ludzi własnej ziemi, którzy, choć czasem niegłośnie, w maleńkiem kółku działają dla dobra ogólnego, albo krzewiąc naukę, albo w pocie czoła uprawiając rolę, lub nuąc nam pieśni wzniosłe i uszlachetniające.

Tygodnik *Illustrowany* nie mija się ze swem założeniem, bo daje nam poznać to właśnie czego nam

brak. Pomimo jednak wyżej wspomnianej zasady, posyłam wam „wiadomość o ruinach katedralnego kościoła św. Dyonizego w Dorpacie“, w których znajduje się biblioteka uniwersytecka. Upoważnia mnie zaś do tego najprzód: już poprzednio w Tygodniku drukowana wiadomość o uniwersytecie dorpacim; powtóre: wiadoma z historii okoliczność, iż prowincye tutejsze dzieliły dość długo losy swoje z Polską; po trzecie nareszcie: że od lat blisko 40 znaczna część młodzieży naszej odbiera tutaj wyższe wykształcenie.

W zachodnio-południowej stronie Dorpatu, 190 stóp nad powierzchnią morza bałtyckiego, a 80 nad powierzchnią rzeki Embachu, wznosi się góra, która od kościoła katedralnego otrzymała miano „Domberg“. Góra ta od najdawniejszych czasów miała swoje znaczenie i w historii, będąc dla Estonów przybytkiem bogów, mieszkaniem najwyższego bóstwa Taara lub Jumala i najstarszego wodza czyli półboga Wannemuna. Tu były gaje święte, zielonością i wonią przepelnione, tu dniem i nocą nie ustawały śpiewy ptaków rajskich, a Wannemune swemi pieśniami zachwycał całą naturę. Dorocznie u podnóża góry zbierał się naród, aby oddać cześć bogom, złożyć ofiary i tydzień cały wesoło, uroczyste przepędzić. Według podań ludowych, górę tę usypano z ziemi pozostałej po wykopaniu łożyska Embachu.

W późniejszych czasach, oprócz religijnego, przybyło Dombergowi i znaczenie historyczne. Równocześnie z początkiem miasta, wznosił tu Jarosław książę nowogrodzki w 1030 r., w miejscu gdzie obecnie obserwatorium astronomiczne stoi, drewniany, dobrze obwarowany zamek. Po zdobyciu zaś Dorpatu przez Krzyżaków w r. 1223, pierwszy biskup dorpaccki Herman v. Apelnern, w miejscu drewnianego, po części zburzonego zamku, postawił muirowaną warownię i tam rezydencją swoją założył.

Herman podniósł wkrótce Dorpat do rzędu pierwszych miast w prowincjach nadbałtyckich, korzystając już to ze szczęśliwego położenia na granicy dawnych księstw ruskich i na wybrzeżach spławnej rzeki, już nadając ściągającym ze wszech stron mieszkańcom dogodne przywileje i prawa. Wkrótce też zakwitnęły handel, zamożność i powaga miasta.

Po krótkim przeciągu czasu, to jest w 1224 r., położył Herman na zgłiszczach pogańskich ołtarzów fundamenta pysznej świątyni, której szczątki obecnie podziwiamy. Świątynia ta, w stylu nowogotyckim czyli niemieckim zbudowana, miała (jak obecnie jeszcze z ruin widać) okazałość i kolosalną budowę średniowiecznych przybytków, jakimi są: Münster w Strassburgu, tum w Kolonii, kościół św. Stefana w Wiedniu i wiele innych. Ogrom jest cechą wszystkich świątyń w tym stylu budowanych; i kościół dorpaccki,

podług Gadebuscha, przewyższał kolosalną budową wszystkie kościoły w tych prowincjach istniejące. Na granitowym fundamencie wzniesiony, mierzył 262 stóp długości, 92 szerokości i 70 wysokości. Oprócz tego dwie wieże ze strony zachodniej miały się jeszcze 220 stóp nad murem wznosić, tak iż na 10 mil w około mogły być widziane. Sklepienie oparte było na 24ch wysmukłych filarach, a lekkie krzyżowe łuki, na filary zarzucone, łączyły kościół z dwiema po każdej stronie kaplicami. Wysokie, wąskie gotyckie okna, strojne w różnokolorowe szyby, oświetlały nawę i boczne kaplice. Cegły dawne, ciemne, jakby glazurą powleczone i nadzwyczaj szczelnie spojone, dziwnie odbijają przy dzisiejszej wyrestaurowanej części.

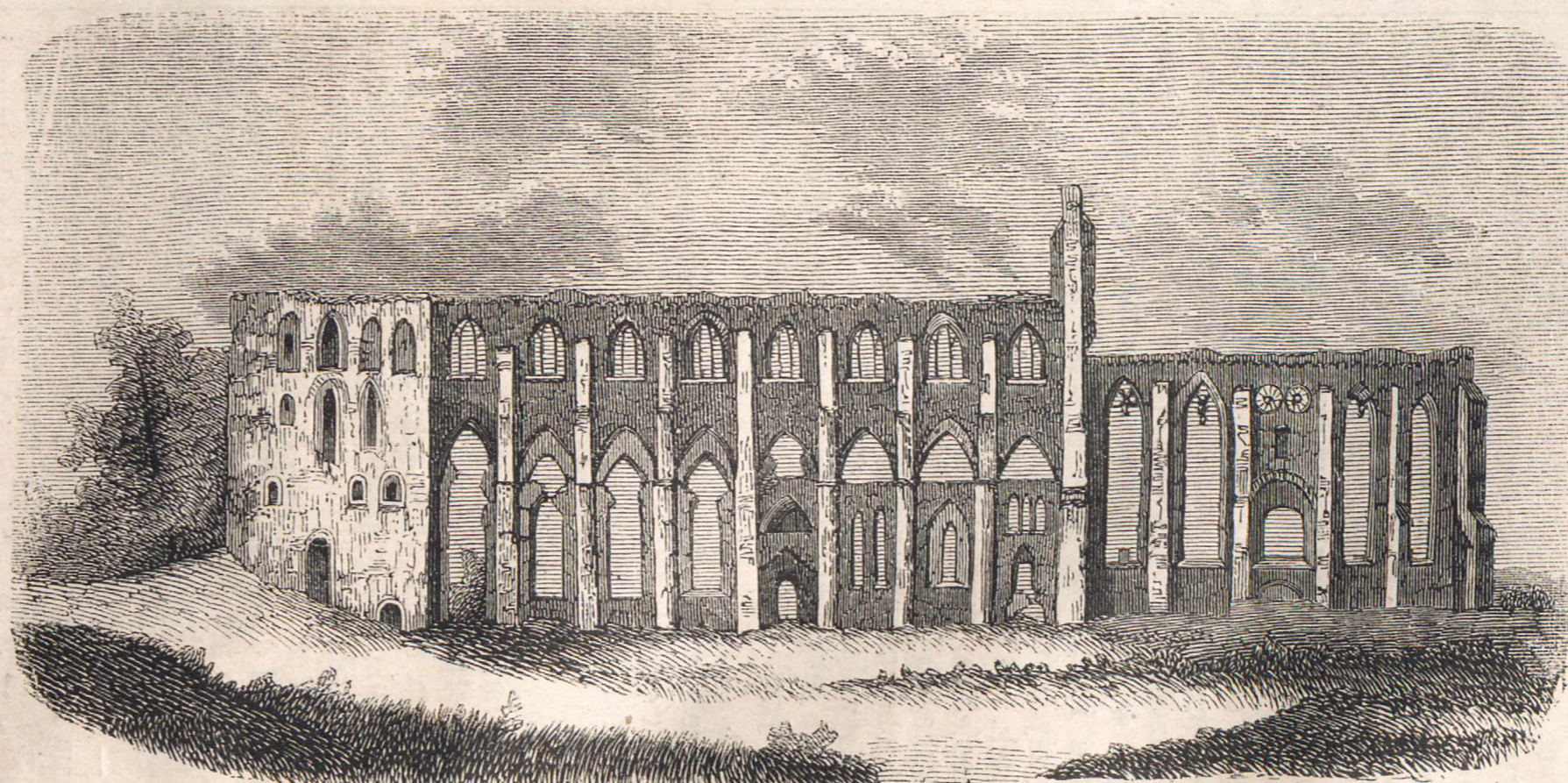
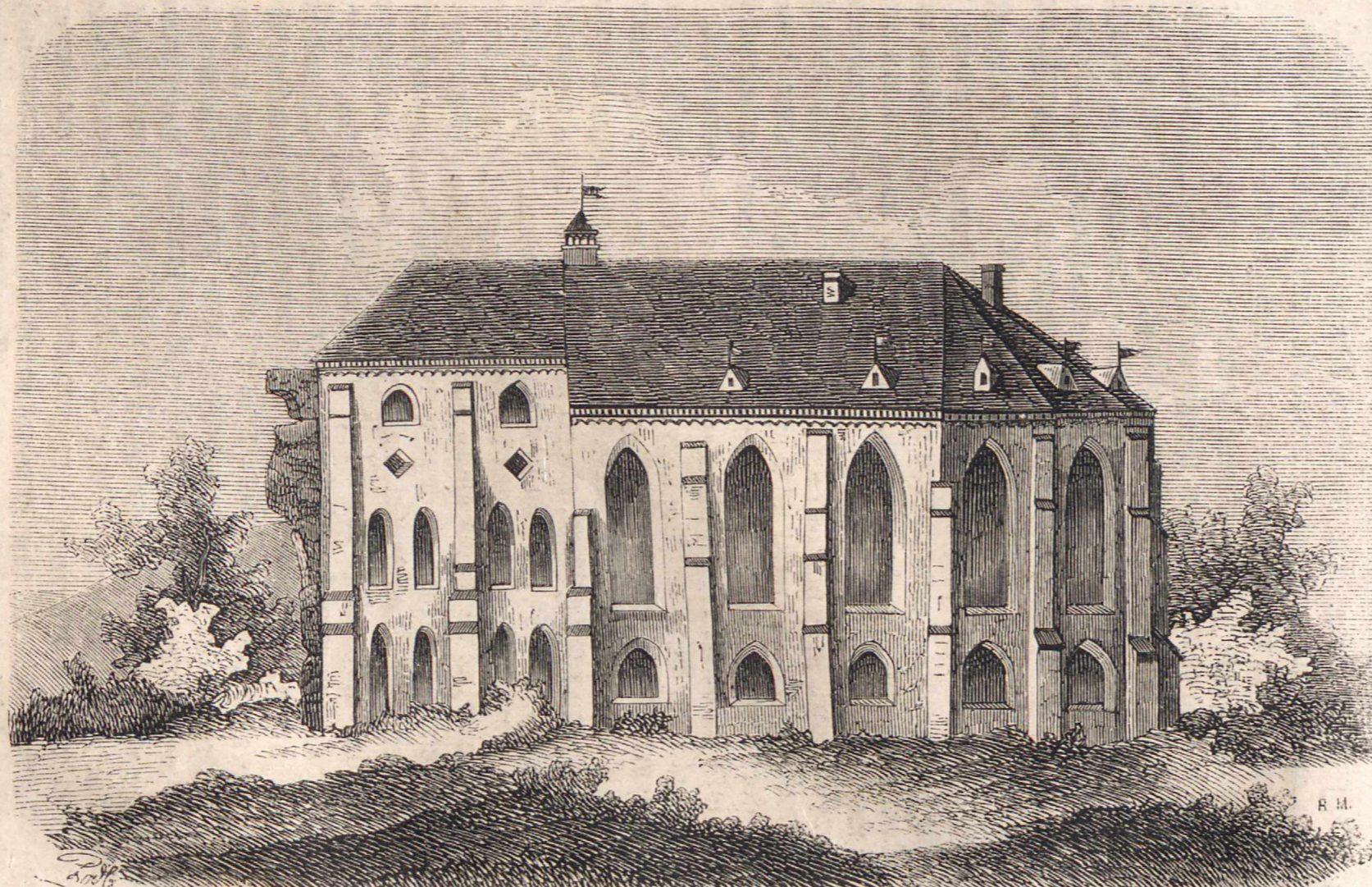
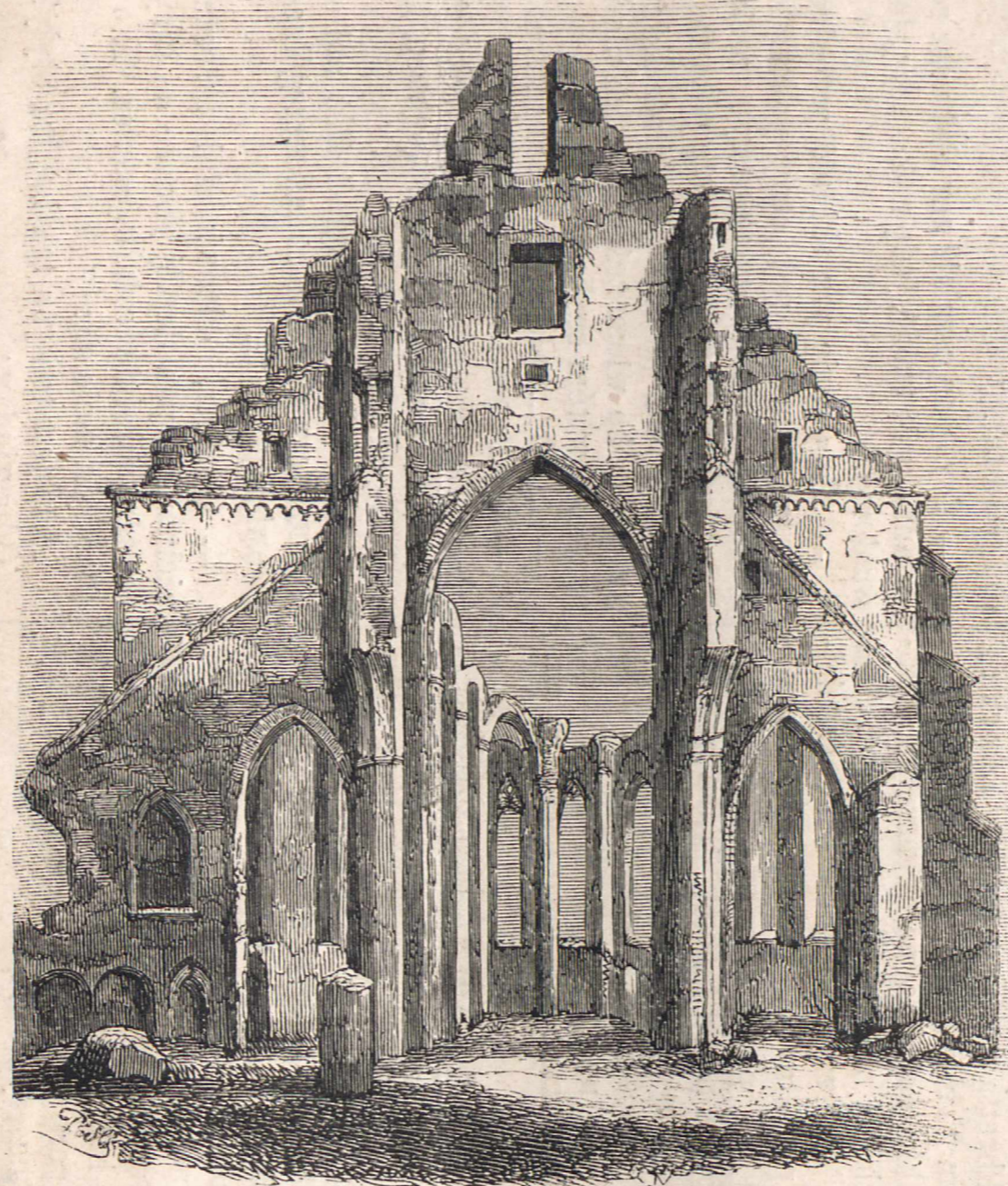
Niezliczone summy poświęcił Herman na budowę tej świątyni, zwłaszcza gdy wszystkie materiały, zdolnych architektów i mularzów, trzeba było sprowadzać z Niemiec. Po sześciu latach nareszcie ciągłej budowy, został kościół w r. 1230 w cześć św. Dyonizego poświęcony i otwarty. Tuż przy kościele wznosiły się gmachy dla kononików i całej kapituły.

Do 1526 roku stroił się kościół w bogactwa i przepych; lecz gdy w tym roku nauka Lutra, ogłoszona w Dorpacie przez Melchiora Hoffmana, pociągnęła za sobą większą część mieszkańców, gdy zaczęto palić ołtarze, obrazy i przybory kościelne rąbać, wtedy i kościół św. Dyonizego nie został oszczędzony; odarto go z obrazów, a przybory kościelne albo zniszczono, albo pozabierano, aby je wspólnie z innymi na stosie spalić. Przy zdobyciu Dorpatu przez Rosyan w 1558 r., w rzędzie wielu innych budynków, i świątynia św. Dyonizego została znacznie uszkodzoną, lecz wkrótce jako tako wyrestaurowana, do 1598 r. żadnej zmianie nie uległa. W tym roku dopięro, z powodu ogni przez pospólstwo w wigilię św. Jana palonych, czy też, jak inni utrzymują, przez nieostrożność mnichów, kościół z innymi zabudowaniami w większej części spłonął. W r. 1624 powtórnice przez nieostrożność służby kościelnej zgorzał. Od tego czasu nieprzerwanie chylił się do upadku, bo ciągle wojny i zaburzenia nie pozwoliły myśleć o naprawie. W 1763 roku, przy pracach około urządzeń mających fortyfikacyj, odłamano stojącą jeszcze wieżę, a następnie przy podkopywaniu wałów naruszono fundamenta, co było powodem iż mury z jednej i drugiej strony z dołu do góry pękły, i dlatego późniejszy wniosek, aby na nich urządzenia obserwatorium astronomiczne, nie mógł przyjść do skutku.

W 1799 r., przy wznowieniu uniwersytetu w Dorpacie, zrównano wały i tarasy, zasadzono mnóstwo drzew, i powoli zamienił się Domberg w najpiękniejszy park angielski, z którego cudny widok na miasto u podnóża jego leżące i na okoliczne strony. Część wschodnia ruin, to jest chór mający 116 stóp

długości, 75 szerokości i 60 wysokości, został odbudowany i w 1806 r. na bibliotekę uniwersytecką obrócony; zachodnia zaś część, już dwa wieki wystawiona na pastwę czasu, długo zachwycać jeszcze będzie przyszłe pokolenia, zanim do reszty rozsypie się w gruzy.

G. S.



RUINY KATEDRALNEGO KOŚCIOŁA ŚW. DYONIZEGO W DORPACIE.

KRASICZYN NAD SANEM

(w Galicyi, w cyrkule przemyskim).

Aleksy, syn Jakuba z Siecina Siecińskiego, otrzymawszy w udziale majątność Krasiczyn około 1540 roku, począł się pisać Krasiczkiem. Stanisław kasztelan przemyski rozpoczął 1592 r. potężne mury zamku wznosić, ukończył je zaś syn jego Marcin wojewoda podolski, o którym pisze Niesiecki: „Był pan ojczyznę kochający, dla której liczne roty do obozu przyprowadzał; mierzających rzeszpospolitą nienawidził, pałac i kaplicę w Krasiczynie kosztowną wystawił. Jeżdżąc w legacji do Ferdynanda II cesarza rzymskiego, tytuł Comitis S. R. I. dla siebie i dla successorów swoich wyjednał. Zszedł bezpotomnie roku 1632.“

Zamek, jeden z najważniejszych i najpiękniejszych pomników przeszłości, zaszczycony był nawidzinami czterech monarchów, trzech z domu Wazów i Augusta II. Zbudowany w guście rokoka w duży czworobok, obwiedziony szerokim okopem, niegdyś napelnionym wodą. Cztery koronkowym filigranem otoczone baszty sterczą na jego rogach. Nad bramą wznosi się ozdobna wieża z zegarem; wewnątrz dziedzińca piętrowymi osnuty galeryami. Na ścianie prowadzącej do kaplicy znajdują się popiersia królów i sławnych mężów. Okazałe salony przyozdobione były arabeskami pomalowanymi, i głowami robionymi snycerską robotą z drzewa. Obrazy w złożonych ramach

przedstawiają różne zdarzenia z czasów Zygmunta III i Władysława IV.

„Gdyby zamek ten znajdował się w Anglii lub Niemczech, odbywanoby do niego pielgrzymki, a opis z rycinami obeznałby świat cały z najsłynniejszym jego zakątkiem,“ mówi Stan. Okraszewski w Bibliotece warszawskiej z 1842 roku. i słusznie, bo u nas zaledwie

wypłaciła 1785 r. i na cmentarzu przy kościele od siebie wymurowanym pochowana. Tyle piramid żywych, ile ubogich wyposażyła panien; tyle kolosów chwały, ile wyedukowała sierot; tyle mauzoleów nieśmiertelnych, ile ubogich opatrzonych po sobie ku wiekopomnej sławie zostawiła.“

Od roku 1834 Krasiczyn znajduje się w posiadaniu księcia Leona Sapiehy.

W roku 1852 dnia 3 maja, w wigilię zapowiedzianego przybycia młodej w Krakowie zaślubionej pary, ks. Adama Sapiehy, syna księcia Leona, z księżniczką Sanguszkówną, zamek krasiczyński zgorzał. Spłonęły rzeźbione, wyłacane, tureckimi głowami zawieszane sufity; rozsypały się marmurowe odrzwia i kominki, zgorzała baszta zwana królewską, wypaliły się na wapno marmurowe ściany baszty papieżkiej, z ozdobnymi portretami papieży; runął gorejący dach wieży zegarowej i porwał ze sobą na dno sklepienia koła i dzwony; a wśród tego jeziora płomieni, ocalały tylko baszta Boska i szlachecka. W Boskiej znajduje się kaplica, zdobna w kamienne rzeźby; szlachecka w chwili pożaru była składem szacownych pamiątek, i te ocalały.

W roku pożaru część zamku była urządzoną do tymczasowego zamieszkania. W tym roku ma się rozpocząć dokładna restauracja całego zamku. Po stać pierwotna ma być w całości zachowaną i z tego powodu niektóre części uszkodzone, a widocznie później przymurowane, będą zniesione.

Na środkowej ścianie dziedzińca, naprzeciw bramy



KRASICZYN NAD SANEM W GALICYI.

kto wie, prócz sąsiadów, że jest Krasiczyn na świecie.

Geografia Galicyi z 1786 r., powiedziawszy tylko, iż zamek większym jest od całego miasta, dodała jeszcze następującą wiadomość: „Tu wielkiego rodu, cnót i pobożności Ludwika z Mniszchów Potocka, kasztel. krak., hetmanowa w. k. dług śmiertelności

Geografia Galicyi z 1786 r., powiedziawszy tylko, iż zamek większym jest od całego miasta, dodała jeszcze następującą wiadomość: „Tu wielkiego rodu, cnót i pobożności Ludwika z Mniszchów Potocka, kasztel. krak., hetmanowa w. k. dług śmiertelności



RUINY KATEDRY W WŁODZIMIRZU.

wjazdowej, nad pierwszym piętrem, jest wizerunek Augusta II w całej osobie, z napisem: „Króla czekają panowie korony polskiej.“ Pochodzi on z czasu spodziewanego do Krasiczyna przyjazdu tego króla, gdzie go licznie zgromadzona szlachta z powitaniem oczekiwała. Życzyłoby należało aby przy restauracji tę pamiątkę zachowano (*).

W kaplicy znajduje się piękny pomnik roboty Stattlera, wystawiony dla księżniczki Zofii Sapieżanki i sześciorga jej rodzeństwa, których zwłoki w tym grobowcu spoczywają. Tu także złożone być mają zwłoki zmarłej w Paryżu księżny Anny z hrabiów Zamojskich Sapieżyny, ostatniej swojego wieku, oby nie ostatniej na zawsze, tak wysokich cnót matrony polskiej.

RUINY KATEDRY W WŁODZIMIRZU.

W południowej stronie Włodzimirza, małego powiatowego miasta na Wołyniu, ponad Ługiem wązko i kręto płynącym do niedalekiego Bugu, podnoszą się brzegi, tworząc wzgórze spadzisto schodzące ku rzece. Na jednym z takich wzgórz, pośród chat i dworów wyzierających z zieleni ogródków i rojących się ludźmi, brzmiających ich życiem, jest miejsce nad samą spadzistością brzegów, zajęte przez masę murów w ruinie, którą podajemy przerysowaną od strony zachodniej, z okna jednego z dworów miejskich. Kiedy światło dzienne łamie się po kształtach wysokiej ruiny, człowiek zatrzymuje wzrok swój na niej; w nocy słyszy krzyki puszczyków z wieży w półsennych swych marzeniach, lecz to już wszystko, czém się łączy ta ruina z obecnym otaczającym ją życiem; przybysz dziś zapytuje jej tylko o przeszłość.

Przed siedmiu wiekami w Włodzimirzu, jako stolicy udzielnego księstwa na Rusi, książę Mściwój wznosi te mury na katedrę biskupstwa włodzimirskiego. Szereg panujących do r. 1320, kiedy ostatni udzielny książę tutejszy padł pod wałami swjej stolicy w krwawej bitwie z Gedyminem, zostawił tu pochowane swe zwłoki. Ostatnim, przed unią, włodzimirskim i brzeskim biskupem (Brzeskie przyłączono r. 1570) był Chreptowicz-Bohuryński; od r. 1595, w którym biskup Pocię pierwszy takową ogłosił w tej katedrze, była unicka do roku 1794; wtedy zaś wraz z seminarium została zniesioną.

Zakończona trzema kopułami, wspartemi na ośmiu kolumnach, z galerią dokoła nich i dwiema mniejszemi na wieżach, przybrana w posągach świętych, stojące po niszach i innych miejscach, świątynia ta w roku 1753 ozdobioną została wspaniałym frontem przez biskupa Teofila Godebskiego. Lecz jeden z następców jego, wyprzedzając ją r. 1785, przez zrobienie kilku okien i drzwi do ambony w jednym z filarów, osłabił północną jej stronę tak, iż w tym samym roku część sklepienia zapadła się, i odtąd ustało nabożeństwo w samym gmachu kościoła. Pomimo reparacji zarządzanych później, r. 1832 runęły kopuły, a zeszłego lata pożar, co zniszczył całe środkowe miasteczko, objął także i mury przykatedralne i spalił urządzoną w nich kaplicę, do której przeniesione było nabożeństwo z katedry. Pomiedzy niewielką przedmiotami, uratowano z niej obraz starożytny Wniebowzięcia Matki Boskiej i krzyż, z którego, podług podania, spadła iskra na uznanego w kościele rzymskim za świętego Józefata Kuniewicza, mieszczanina z Włodzimirza, później arcybiskupa połockiego.

Lecz to nie pierwsza katedra w Włodzimirzu: podług niewydanego dotąd opisu, z którego wiele korzystałem, o werstę od dzisiejszego miasta na zachód, widzialne dziś na polu ruiny cerkiewki św. Teodora, mają być na miejscu dawniej, zapewne pierwszej katedry włodzimirskiej. Ruska kronika Nikona mówi o metropolie kijowskiej Leonie, iż r. 992 mianował biskupem włodzimirskim Stefana, w rok zatem po dacie założenia tego miasta przez Włodzimirza W., jaką podają ruscy i polscy kronikarze, co przemawia za dawniejszym istnieniem tu osady, której Włodzimierz W. mógł nadać tylko swe imię.

Musiało też być niezmiernie rozległym miasto, którego przedmieściami były okoliczne dzisiaj wsie, do

(*) Jest podanie, że mieszkańcy Krasiczyna, zebrani na powitanie króla, własnymi rękami na pamiątkę tego zdarzenia usypali trzy kopce na górze, które na rycinie są zamieszczone.

10 werst od niego odległe, jak świadczą przywileje nadawane właścicielom tych wsi od królów polskich i inne dokumenta z w. XVI zachowane. Dwadzieścia kościołów i cerkwi, jakich dochowały się ślady, oprócz licznych świątyni na przedmieściach, wznosiło się w Włodzimirzu, który miał zamek obok wzgórza katedralnego, a od północy i wschodu dwa wysokie wały i fosy, łączące Ług z wpadającym doń Smoczem. Wiele burz widać przeszło ponad dawnym grodem, nim spadł do stanu małej miściny, w jakim go dziś znajdujemy, i nim zapomniał o dawniej wielkości. Dużo wycierpieć musiał, nim na jego polach dokoła zasiały się te liczne kurhany, nim ziemia jego przemiaszała się tak z kośćmi ludzkimi, że je znajdują niemal wszędzie, a znajdują czy kopiąc rowy na ulicach, czy poruszając grunt pod ogrodowizny i kwiaty, ze śladami często tatarskiego męczeństwa na czaszkach przebitych gwoździemi.

Lecz już umilkły dawne jęki; — gruzy przeszłości porosły nowym życiem, pod którym nie znać śladów dawnego, umarłego, nie znać trupa z którego soków wykwitło. A jeżeli pośród tego życia nieogarnięte niem jeszcze miejsce dojrzy gdzie dzisiejszy człowiek, to pyta je o przeszłość i zamyśla się, spoglądając na ruiny podobne do tej jaką mamy przed sobą. Opuszczona przez ludzi, osypuje się pyłem, stroi w zieloność z głązów wykwitającą, i z każdą cegiełką spadłą tracąc ślady myśli człowieka co ją wznosił, przechodzi pod władanie natury, ubierając ją w swoje barwy.

T.

DZIAŁA POLSKIE Z XVII WIEKU.

Jeżeli niełatwo teraz spotkać można autentyczne zabytki wszelkich rodzajów ręcznej broni dawniej u nas używanej, to grubsza broń palna do największych w kraju rzadkości należy. Dlatego też podajemy tu skwapliwie rysunki trzech dział spiszowych, które zeszłego roku w gmachu ludwisarni zwanym, oglądać mieliśmy sposobność. Wszystkie są nader krótkie a grube, kalibru zwanego 9cio-funtowym, rzeźby na nich i napisy wypukłe, zręcznie wykonane.

Najdawniejsze działo, pierwsze z porządku, ma przy zapale wyrzeźbioną pogoń i następujący napis w czterech wierszach:

INVISS (invictissimi) REG(is) POL(oniae) SVE-
CIE IOAN(nis) CASIM(iri) PREF. (praefectus)
ART(illeriae) M(agni) D(ucatus) L(ithuaniae)
NICOL(aus) VLA(dislaus) IVDICKI CAVALER
MELITENSIS A(mno) D(omini) 1655 EREXIT.

Bliżej wylotu znajduje się krzyż maltański, uszy zaś, z których jedno ułamane, są w kształcie delfinów.

Żarliwy stronnik Jana Kaźmirza, a słynny z mężstwa i pobożności, Mikołaj Władysław Judycki herbu Radwan, brał czynny udział w wojnie szwedzkiej. Oprócz generalstwa artylerii w. ks. lit., piastował także kasztelanstwo nowogrodzkie, nietylko zaś był kawalerem maltańskim, jak się tu mianuje, ale i komendantem jedyną na Litwie komandoryi maltańskiej w Stwołowiczach. W roku 1659 regimentował na miejscu hetmańskim, odzyskał Dżisnę i Siebicz; umarł w Wilnie po roku 1671.

Dwa drugie działa noszą przy zapale rok 1686, u wylotu zaś tarczę z herbem Jelita pod koroną szlachecką, w około której dwie gałązki wawrzynu i głoski:

J. Z. — M. Z. — S. R. — T. B. — P. B. — R. C.

Dwóch pierwszych głosek z pewnością wytłumaczyć nie umiemy, gdyż Jan Zamojski, wnuk hetmana, w roku 1686 już nie żył; następne zaś odnoszą się do Marcina Zamojskiego, podskarbiego wiel. koronnego, i znaczą: Martinus Zamojski, Summus Regni Thesaurarius, Belziensis, Ploskiroviensis, Bolimoviensis, Rostociensis Capitaneus.

Trzy inne działa, daleko od tych dawniejsze, bo z czasów Zygmunta I, dziś jeszcze zapewne znajdują się w Nieświeżu. Są one także spiszowe, lecz długie jak śmigownice i całkiem przesliczną rzeźbą pokryte. Dokładne ich rysunki znajdują się w albumie prof. B. Podczaszyńskiego. Powiadano nam, że gdy teraźniejszy ordynat, ks. Wilhelm Radziwiłł, poraz pierwszy do Nieświeża przybył, jeden ze starych sług zamkowych, którzy już teraz także do rzadkości należą, wskazał miejsce, gdzie takowe zakopane być miały. Wiadomość o tym skarbie podawali ojcowie synom przez wiek cały, albo i dłużej.

K. B.

LEGENDY I WIEŚCZENIA LUDU UKRAIŃSKIEGO.

Ktoby wynaléć chciał dziś wpośród ludu żywy watek łączności z przyrodzeniem, ze światem duchowym, objawiający się na zewnątrz w obrazach osobliwszej imaginacji, ten powinienby udać się po to do gminu ukraińskiego. Tu jeszcze dotąd trwa wiara w moc przecucia i przewidywania, a wiara ta usprawiedliwia się nieraz faktami, dodającemi jej nowę powagi i wiarygodności. Widzenia wieszczu ludu tego możnaby nazwać snem na jawie, za wodzą owę tajemniczej potęgi duchowej, właściwej człowiekowi do przyrodzenia zbliżonemu, a sięgającej daleko poza obręb tego, co się da schwycić zmysłami i obrachować liczbą. Moznaby przypuszczać tu jakiś właściwy ludowi temu dar przyrodzony magnetycznego widzenia, jak mieszkańcom wysp szetlandzkich przypisuje się władza *drugiego wzroku*. Co duch przeczuwa albo przewiduje, temu fantazyja i wyobraźnia nadają kształty widome, nacechowane pewną mistyczną symboliką, jaką przyoblekają się sny wieszczu duszy naszej. Zapewne niekażdy przyznaje się do wiary w ten pierwiastek mistyczny ducha; jednakże w życiu każdego człowieka znalazłoby się kilka faktów takich, których on pojąć nie może, o których nierad mówić, a nie może ich jednak wymazać z pamięci swojej. A ileż to podobnych przykładów nie przedstawiają nam dzieje ludzkości całej, osobliwie dzieje poetyczne świata podaniowo-uczuciowego ludów zostających na pierwszym stopniu oświaty? Ilekroć duch ludzki zwątpi o sobie i o przyszłości, wtedy mimowolnie zwraca się on ku sobie samemu i w głębinie własnej znajduje owę cudowność, którą, zdawało mu się, że już wyciępił wszędzie, mocą rozumowania i rachunku. Zda się że wiek nasz zostaje właśnie w tej dobie. Wieleż to, ostatnimi laty, Francya sceptyczna wydała dzieł owego *wstecznego* kierunku, jak się o nim wyrażają z pogardą racjonalisci, co w duchu ludzkim, oprócz samego rozumowania, nic więcej widzieć nie chcą. Słowianie w duchu człowieka zawsze widzieli więcej coś nad to, a największy poeta szczepu tego powiedział w obliczu wieku naszego:

Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

Zapewne, biorąc ściśle, nie wszystko w legendach jest prawdą, ale też i to niezawodną jest rzeczą, że świat poezji i wieszczu nie jest koniecznie światem zmyśleń; jest w nim pewien watek prawdy, chociaż ta nie da się obrachować wedle prawideł logiki zwyczajnej. Kogo więc wstęp ten nie zraził, tego zapraszam, aby posłuchał powieści ludu ukraińskiego, powieści nacechowanych zwykle piętnem cudowności. Gdzieindziej wszelkie podobne legendy są wyrobem czasów przeszłych; tu spotykasz się nieraz z najdziwniejszemi faktami, jako wypadkami które miały jakoby wydarzyć się obecnie. W roku zeszłym np. przez dwa miesiące (od połowy czerwca do połowy sierpnia prawie), była posucha, zboże schło, a co gorsza, straszne pożary panowały wszędzie. Z tego powodu lud taką utworzył legendę. Słyszałem ją od jednego chłopka, który odbył pielgrzymkę do świętych pieczarskich i wróciwszy opowiadał ją w domu.

Niedawno w Kijowie widziano człowieka, co chodził w tłumie pielgrzymów, płakał, *kajał się* w grzechach swoich, a między złożonemi dłońmi nosił pięćzłotówkę. Dłoni jego nikt nie mógł rozłożyć, a nie były one zrosłe z sobą, tak tylko sama moc Boża utrzymywała je razem. Kiedy pytano go, coby to miało znaczyć, zwykł był opowiadać, ku wspólnemu wszystkich zbudowaniu, co następuje:

„We wsi naszej u jednego chłopka w ogrodzie była chatka pusta a zamknięta. Chłopok spostrzegł nieraz, że po nocach, kiedy się obudził, pali się w niej ogień; nie mógł on pomiarkować coby się to znaczyło, a samemu nie stawało serca pójść, aby zobaczyć dziwo to na własne oczy. Otóż raz mówi o tém na robocie sąsiadom, przekładając im, że jeżeliby kto poszedł i podpatrzył co się tam dzieje, temu gotów dać w nagrodę pięćzłotówkę. Czart nie śpi; skusiła mię pięćzłotówka i myślę sobie: gdzie nocować, to nocować; prześpię się na piecu w pustej chacie, a w dodatku będę miał pięć złotych. Dobrze i to; nie chodzi to wcale piechotę. Więc zgoda; ale żądam żeby dla większej pewności pięćzłotówka nocowała zemną, to jakoś różniej z nią będzie. Sąsiad nie od tego. Więc po wieczery poszedłem do pustej chaty, a opatrzy-

wszy w niej wszystkie kąty, położyłem się na piecu i zasnąłem, z pięciozłotówką w kieszeni. Może z półnoka, a może już i drugi kur zaśpiewał, tego nie wiem, budzę się i widzę że w chacie światło; przecieram oczy, światło! Patrę lepiej i widzę jak za stołem w kącie, pod obrazem starym siedzi troje na ławicy; siedzą starzec najprzód, siwy jak gołąbek, potem niewiasta urody przedziwnej, a powagi nieopisaniej, narreszcie mąż jakiś trzeci, niemłody już i z wyłysiałym ciemieniem. Zupełnie to wyglądało tak, jak widzimy w cerkwi na obrazach malowanych i złoconych; nawet ponad głowami ich światłość jakaś paliła się. Siedzą, a przed nimi na stole obrus jak śnieg biały, chleb święty na nim, a przed każdą osobą stoi świeca gorejąca z wosku żółtego. Ach! bracia moi! jakem to obaczył, w piersiach mi ochłodziło ze strachu, a serce skacze, a stuka tak, jak owo sito we młynie. Pomimo wiedzy mojej począłem się modlić w duchu, zmówiłem *Ojciec nasz* i *Zdrowaś* i *Wierzę*, a trzy osoby coś radzą pomiędzy sobą. Kiedym się opamiętał i mógł zwrócić uwagę na ich słowa, posłyszałem to, co wyszło z ust starca: „Zepsuty ród ludzki! Ani wiary, ani postów szczerych, ani ofiar z serca, ani modlitwy gorącej; a grzechy wielkie, ciężkie i plugawe! Ziemia skalana woła o pomstę do mnie! Jak ją mam skarać, pytam was, a najprzód ciebie, Piotrze święty?” — „Ach! ciężkie są, ciężkie winy ludzkie! rzekł na to starzec. Miłosierdzie twoje wielkie Boże, cierpliwość bez miary, a grzech woła o pomstę, wiem to; świętość stworzenia twego skalana, świat pociemniał i umroczył się w grzechu. Jeszcze tylko krew święta syna twego święci na nim... Ależ wszystko jest w twojej mocy Boże! Ogień niebieski, woda potopu, powietrze...” — „Och! Boże! ojciec nasz miłosierny! zawoła niewiasta owa, w blask świętości przyodziana, składając ręce, a zalewając się łzami; pomnij na krew syna twego i mego, przelaną na krzyżu! Niech ona oczyści grzech co kala świętość stworzenia twego i odpowie przed sprawiedliwością twoją świętą. Daj jeszcze lata próby i cierpliwości rodowi ludzkiemu; podaj znak jaki, zeszliz kogo, aby zapowiedział mu karę bliską, jeżeli się nie odrodzi w żalu i pokucie.” — „Dwa miesiące na niebie gorzała miotła niebieska, napełniając postrachem serca ludzkie, a jednak skrucha w nich nie powstała!” Ale tu i Piotr święty i Przekzysta razem z nim poczęli prosić Boga ze łzami, aby objawił wprzód przez kogo, że jeśli się nie poprawią ludzie, zatracenie blizkie ich czeka, a tymczasem posucha dotknie ich pola, a ogień domy. Bóg popatrzył na mnie i skinął abym zszedł z pieca. Stoczyłem się na ziemię i padłem przed kątem owym, w którym zasiadali Bóg, Piotr sty i Przekzysta dziewica, naradzając się o losie rodu ludzkiego. — „Chciałeś nas podsłuchać i jak Judasz wziąłeś za to pieniądze. Dobrze się stało. Masz przy sobie pieniądze który ci dano; dostań więc tego srebrnika, włóż go pomiędzy dłonie, idź z nim w świat szeroki i opowiadaj wszystkim co tu widział i słyszał.” Pogasły świece, znikły postacie święte, a ja klęczałem w chacie ze złożonymi rękami, trzymając pomiędzy dłońmi pieniądze dany mi od sąsiada. Pomodliłem się i poszedłem w drogę. Dziej się wola święta! Przeszedłem kawał ziemi spory, byłem w Począjowie, w Braiłowie, w Berdyczowie i wszędzie gdzie lud kupi się u świętych a dawnych obrazów; dziś jestem tu w Ławrze pieczarskiej, a jutro puszcę się do monasteru świętogórskiego, za Dniepr. „Dopóki tak chodzić będziesz?” pytał go lud skruszony. „Ha! dopóki ten pieniądz srebrny nie wypadnie mi z pomiędzy dłoni!”

Czyż niema w tém poezji, pytam was? — Oto druga powieść ludu, równie jak pierwsza nacechowana cudownością.

We wsi pewnej była dziewczyna nabożeństwa osobliwszego i serca prawdziwie złotego; nie ją od wieku dzieciennego prawie nie nęciło tyle ku sobie, ile pilnowanie chorych w niemocy i odwiedzanie ciał nieboszczyków pańskich. Kiedy kto zamrze bywało, i to nietylko we wsi swojej, ale nawet i w okolicznej włości, ona, byle o tém zasłyszała, rzucała wszystko iszła choćby w nocy, a przyszedłszy do zwłok, siadała u nich, modląc się a czuwając do samego złożenia ciała w grobie. Brali się do niej parobcy, bo miała twarz wdzięczną, a uśmiech uroczy; ale ociągała się z postanowieniem. Nareszcie jednemu zgodziła się oddać rękę, z tym jednak warunkiem, że zostawszy jej mężem, nie będzie jej bronił i w przyszłości chodzić do umarłych. Cóż miał począć? Zgodził się i na

to zakochany parobek, a dziewczyna pobożna została żoną jego. I dobra z niej była gospodyni. Bóg błogosławił obojgu w gospodarstwie; pełno było i w obozrze i w ogrodzie; ale niech jeno zasłyszała głos dzwonu po umarłym, natychmiast rzucała wszystko tak jak było, i biegła przez ogrody, na przełaj, do pilnowania ciała. Już jej od tego obowiązku chrześcijańskiego nic powstrzymać nie było w stanie. Doczekała się dzieciątka, ale i powinność macierzyństwa nic jej w tym względzie nie przeszkadzała. Zadzwoń na dzwonicy, ona bierze dziecię z kołyski, ogarnie je i nuż w drogę. Świekrze nie w smak były te odwiedziny; kiwała każdą razą głową na to i mruzczała nieukontentowana, a potem napadała o to na syna. „Ona sobie chodzi do umarłych, powtarzała, a mnie tu zostawia pracę na karku. Dobrze mi nabożeństwo! Pracuj nieboże a Bóg ci pomoże, ot co! A bieganie takie, to wcale nie zasługa. Możebym i ja poszła, dlaczego nie? Możebym i ja wypila przy ciele czarę jedną lub drugą; ale za mnie nikt tu nic nie zrobi, o wszystkim potrzeba pamiętać mojej stariej głowie! Otóż i doczekałam się pomocy na moje stare lata, oto mi synowa lala! Ej synu! posłuchaj matki stariej; patrzaj dobrze i nie puszczaj żony, bo ona idzie do umarłego niby, a może gdzieś tam trafić na żywego. Różnie się w życiu zdarza, zobaczysz! zobaczysz! Oj te nabożne niewiniątka! Modli się pod figurą, a ma, Panie odpuść, diabła zaskóra!” Jak poczęła tak gadać stara, syn zabronił żonie chodzić do ciał nieboszczyków. Aż tu raz dzwonią. „Ach! mężulku mój złoty, pozwólże ty mi pójść do ciała nieboszczyka bożego, niech go popilnuję, niech oddam bliźniemu memu posługę ostatnią, dług chrześcijański wypłacę!” Mąż wzbraniał się długo. „A tyś mi przyrzekł, dodała łkając, że mi będziesz pozwalać chodzić do umarłych.” „Prawda. No idź ten raz jeszcze, ale już, mówię ci, że na przyszłość nie będzie tego.” Pozwolił, a chociaż noc była późna, żona pobożna nie zważa na to. Wzięła dziecię, otuliła ją i poszła w drogę. Kiedy wyszła z izby, świekra mówi synowi: „Poszła, no to i dobrze! Idźże ty teraz za nią i przekonaj się czyja prawda, jej czy moja, do umarłego, czy do żywego ona chodzi.” „Dobrze, ale chodźmyż, matulu, oboje.” Stariej tego było i trzeba. „Ha! chcesz, więc idźmy!” Wstała staruszka stękając, rzuciła na się jakiś przydziełek, dobyte bóty z pod pieca, naciągnęła na nogi i wyszła z synem z chaty. Wyszli, na podwórzu ciemno; ale idą, wiedzeni złą myślą, podejrzaniem, aby śledzić kobięte. Przez wieś jeszcze nic; ale za wsią, minawszy kołowrót, ciągnął się las: tu było tak ciemno, choć oko wykol. Dybiają jakoś, aż patrzą, przed nimi idzie kobięcina, żona syna, a synowa stariej, idzie ciemną dąbrową, a przed nią jak gdyby dwie świeczki świecą; ona posuwa się naprzód, a światło przed nią się rusza i miga po gestwinie. Struchleli na widok ten mąż i podejrzliwa matka jego. Co tu robić? Wracać, czy iść dalej? Rada w radę: „chodźmy, mówi stara, zobaczymy, co z tego będzie.” Idą więc, a młodyca biegnie, a światelko migocze, to ginie w zagieciu drogi, to błysnie znowu i pomaluje jaskrawą luną wierzchołki dębczaków i gestwinę ciemną czaharu, to przepadnie całkiem i tylko iskrzy się zdala jakby dwoje oczu wilczych. Napędzają ją we wsi, a ona pospiesza, a światło zawsze przed nią. Weszła nareszcie do chaty jednej, ci z nią. Widzą: w izbie trup leży, świeczka przy nim dogorywa, baba jakaś drzemie w kącie, a nikogo z obcych niema, nikt bowiem nie pospiesza do czuwania przy ciele ubogiego chudziny. Dla tego to Bóg zapalił takim nabożeństwem serce owiej niewiasty pobożnej, powiódł ją i oświecał przed nią jej ścieżkę samotną.

Teraz opowiemy inną jeszcze powieść ludu ukraińskiego.

We wsi jednej były dwie dziewczyny, obie sieroty; od dzieciństwa bawiły się z sobą razem, zrosły się jakoś sercem i uważały się jakby siostry. Były one urodziwe, pracowite, stateczne i bogobojne; małemi jeszcze będąc, lubiły modlić się do obrazu N. Panny, odmalowanego na drzwiach ich cerkwi, a kiedy im było tęskno w duszy i czuły ciężar sieroctwa dojmujący więcej niż zwyczajnie, biegły do tego obrazu opiekunki niebieskiej i tuliły się pod jej płaszcz złocisty. Więc że je najczęściej widywano w cerkwi, przezwano je sierotkami Boga-rodzicy. Kiedy podrosły dziewczęta, postanowiły sobie nigdy zamąż nie wychodzić i mieszkając z sobą razem do końca żywota, pracując, a modląc się nieustannie. Będziem, mówiły sobie, we wszy-

stkiem jedna drugiej ustępować, a tak przeżyjemy w zgodzie świętej, a miłości zobopólnej, wiek nasz, ile go Bóg nam przeznaczył. Mieszkały one za wsią, ale nigdy nie opuściły nabożeństwa; bywało tylko co uderzą w dzwon, czy to na jutrznią, czy na mszę, czy na nieszpór, czy też na nabożeństwo nocne, już one idą do domu bożego odmawiać modlitwy, a bić pokłony niskie. O rzeczach światowych nie rozmyślały. Nie będziemy zbierać, mawiały do siebie, to nam się wcale nie nada; byle się tylko odziać czysto do ludzi i do Boga, byle było co zjeść, a o resztę mniejsza.

Razu jednego dwie przyjaciółki przędły późno w nocy przy łuczywie, kiedy słyszą że dzwonią w cerkwi, i to we wszystkie dzwony. Samosobienie wierzą; przysłuchują się: może się im tak tylko wydało, nie przypominały sobie bowiem, aby przypadało jakie święto, a kalendarz znały na palcach. Ale nie, dzwoniło wyraźnie. Ej, myślą sobie, już nasz dobrodziej wie to lepiej, kiedy należy dzwonić; więc pora do cerkwi. Schwyciły naprędce coś na siebie i nuż co tchu w drogę, żeby nie opuścić nabożeństwa. Przychodzą: cerkiew oświecona, ludu pełno, ale dziwią się bardzo, że dokoła stoją ludzie obcy i jakoś twarze ich wyglądają straszno; wprawdzie potem rozeznają tu i owdzie twarze znajome, ale były to oblicza ludzi już pomarłych. Postanowiły sobie modlić się i nie dawać baczenia na nic. Wtém otwierają się carskie podwoje, i z za kratki występuje od ołtarza do nawy kapłan stary, z białą jak mléko brodą, a długą aż do pasa; włosy białe spływają mu po ramionach. Strach przejął biedne sieroty; poznały w nim dziada teraźniejszego parocha swego. Wyglądał zupełnie tak jak na portrecie, co wisiał na ścianie probostwa, tylko więcej jeszcze pożółkł i poczerńiał, a na twarzy jakby mech albo pleśń jakaś osiadła. Starsza w tłumie poznała swoją nieboszczkę matkę chrzestną, a opodał swoją rodzoną matuleńkę. Rodzona stoi jakby obca i nie patrzy na nią, ale chrzestna przecisnęła się do niej i szepnęła jej do ucha: „Co ty tu robisz dziewczyno? Uciekaj, doniu, póki jeszcze pora, uciekaj co tchu do domu, a kiedy będziesz uciekać, a za tobą puszcza się w pogoń, zrzucaj z siebie co tylko będziesz mogła, inaczej zginięsz.” Usłyszawszy to obie sieroty, poczęły się wysuwać cichaczem z cerkwi i co tchu im starczyło uciekać. Umarli też spostrzegli byli natrętów i odezwali się do siebie głosem grobowym: „Coś tu czuć ciało człowieka żywego!” „Ścigajmy! ścigajmy natrętów!” zawołano w tłumie. I kilku umarłych rzuciło się w pogoń za uciekającymi dziewczętami. A te uciekają co tylko tchu im stanie w piersi; ogładnie się która, widzi że trup blisko, więc rzuci mu coś z siebie, bót jeden, potem drugi, potem fartuch; to ten zatrzyma się i rwie go zębami, a potem dalej za zbiegiem. Tak niebogie rozdziały się do naga prawie i wbiegły do swojej chatki, zamykając drzwi za sobą na zasuwkę; a trup jeden współcześnie prawie łap za kłamkę z podwórza: „Omacie szczęście, wraże dzieci, odezwał się do nich; może jeszcze trochę pożyjecie, ale niedługo myślę gościć już wam na ziemi.” Jakoż ze strachu dostały gorączki obie, chorowały ze dwie niedziele i pomarły. Poszły na cmentarz za nieboszczykami, których święto, wielkanoc umarłych, obraziły obecnością swoją w cerkwi.

Jest jeszcze powieść inna, że kobieta pewna, która utraciła była dziecko ukochane i długo płakała po niem rzewnie, weszła raz do cerkwi i zastała w niej zgromadzonych nieboszczyków, a pomiędzy nimi postrzegła swego synka ukochanego, dźwigającego w ręku ogromny dzbanek z wodą. Przypadła więc z płaczem wielkim do niego i spytała go pocoby dźwigał ciężar taki? „Och! matulu moja rodzona, odpowie jej dziecię na to; wiészże ty co to za brzemie? Są to łzy twoje, to one tak mi ciężą, łzy, coś po mnie wylęwała, szemrząc na Opatrzność bożą. Każdą łezkę (1) musiałem ja zebrać do dzbanka tego, i odtąd noszę je, pokutując za ciebie, matulu moja, żeś szemrała lekko-myślnie przeciwko świętej woli bożej.”

Czyż ten ustęp śliczny nie jest godzien stanąć w *komedji boskiej* Dantego, w części opiewającej *czyszczenie*? Alboż czy uzdolniony rysownik jaki nie mógłby z tego zrobić piękną winiętkę à la Thony Johannot?

(1) Ustawiczny płacz pó umarłym, wedle przekonania ludu naszego, niepokoi go na tamtym świecie i sprowadza nieraz cieżę na ten świat. Tak samo wierzą Szkoci, jak to widzimy z przypisku do jednego dzieła Walter-Scotta p. t. „Redgauntlet.”

Wspomniałem o widzeniach tamtego świata w komedii boskiej Dantego. Ileżto prześlicznych powieści rapsodycznych opowiada lud nasz o zamierających i widzących w uspieniu letargicznym męki czyśćca i piekła, równie jak rokosze wybranych wraju. Fantazja najwyższa poety nie wyrówna temu; poemat Lenartowicza „Zachwycenie i błogosławiona“ słabym jest szkicem przy tych silnie narysowanych obrazach. Bo też i Dante nie tworzył widzeń swoich piekła i czyśćca z głowy, ale z materiałów nagromadzonych w wiekach średnich, a powstałych z objawień w zachwyceniu będących świętych pańskich. Osobliwsza bo cecha jednostajności piętnuje te obrazy świata zagrobowego, czy to będzie ustęp z Zendawesty, czy legenda buddyjska, czy księga 17 Eneidy Wirgila, czy podania mityczne Grecji, czy też widzenia zachwyconych w wiekach średnich, albo powieść zmarłej siostry Inkasa amerykańskiego, czyli też nareszcie legenda wyszła z ust naszego gminu.

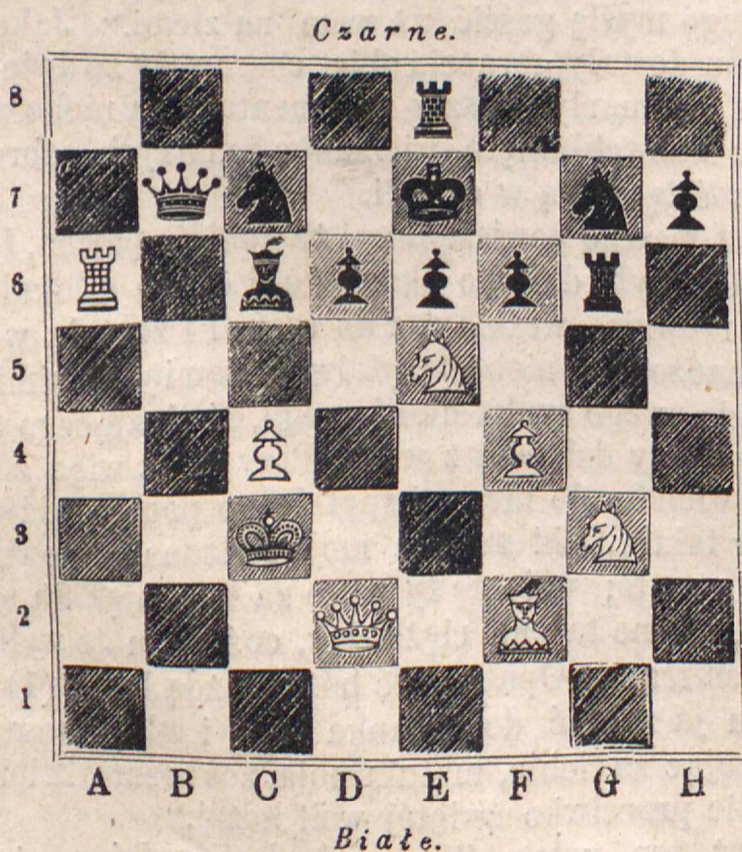
Aleksander Groza, z zapisek ludowych Pantaleona Kulesza, ułożył śliczny poemacik Dantyczny; ale materiałów tych było mało. Jakkolwiek powieści te są zawsze podobne do siebie, przecież jedni spamiętali więcej, inni mniej ze swoich widzeń; najpiękniejsze symbole tego snu, w którym ciało już prawie całkiem obumarło, giną zwykle w pamięci tych, co opowiadają potem o swych widzeniach; zachowują się tylko niezmiennie jedne i te same obrazy wód szumiących, staruszka prowadzącego duszę, kładki chwiejnej nad przepaścią bezdenną i kary tamtego świata, odpowiedniej występkom popełnionym. To

SZACHY.

ZADANIE XXXII

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr 31.

Białe.

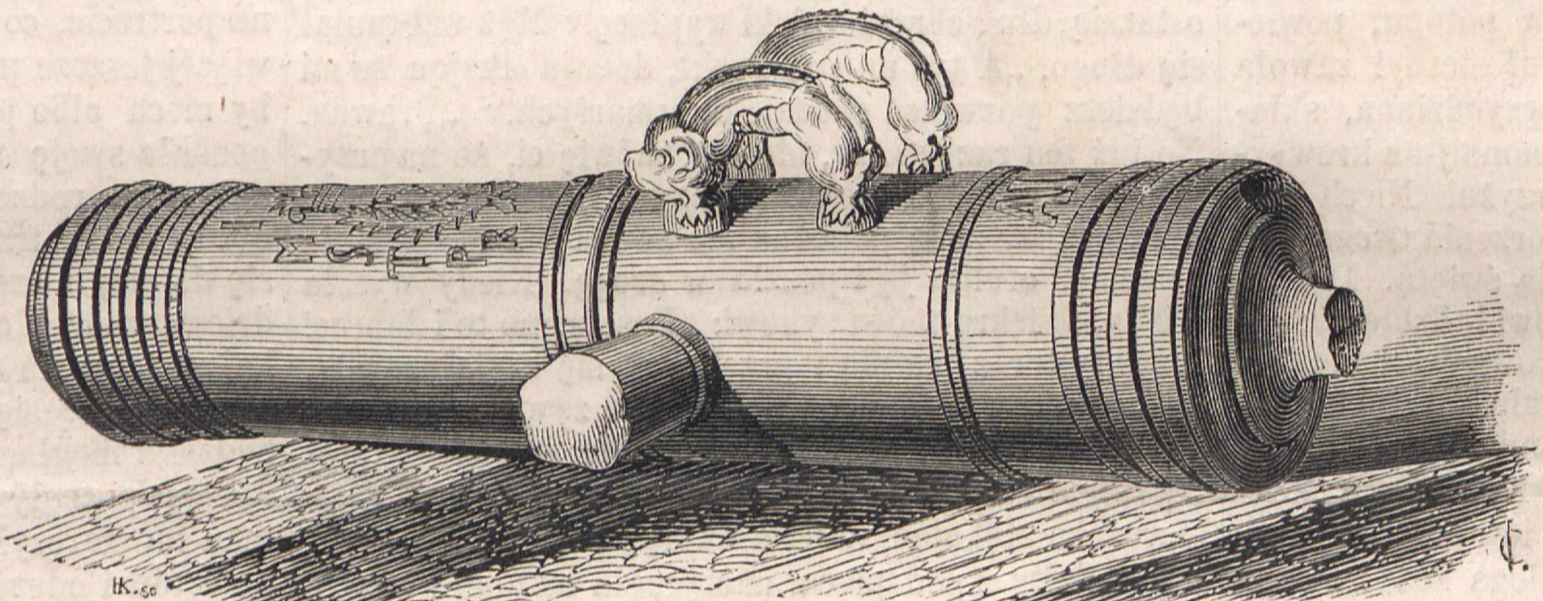
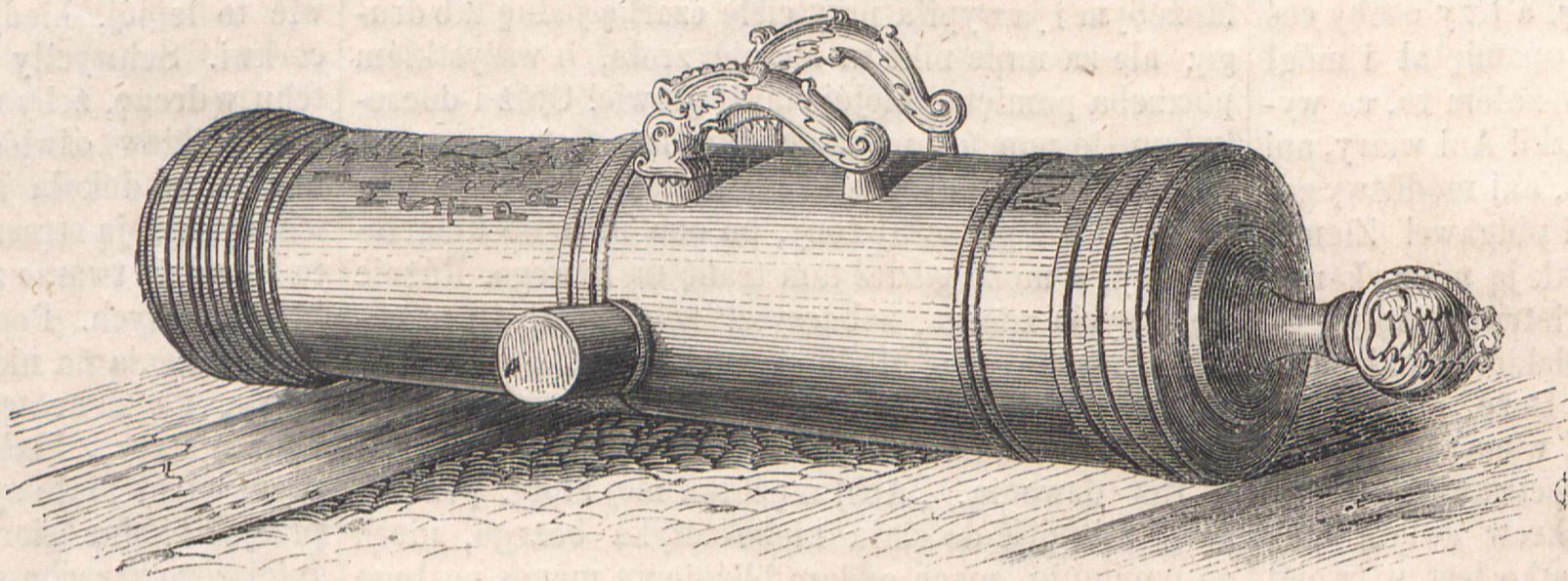
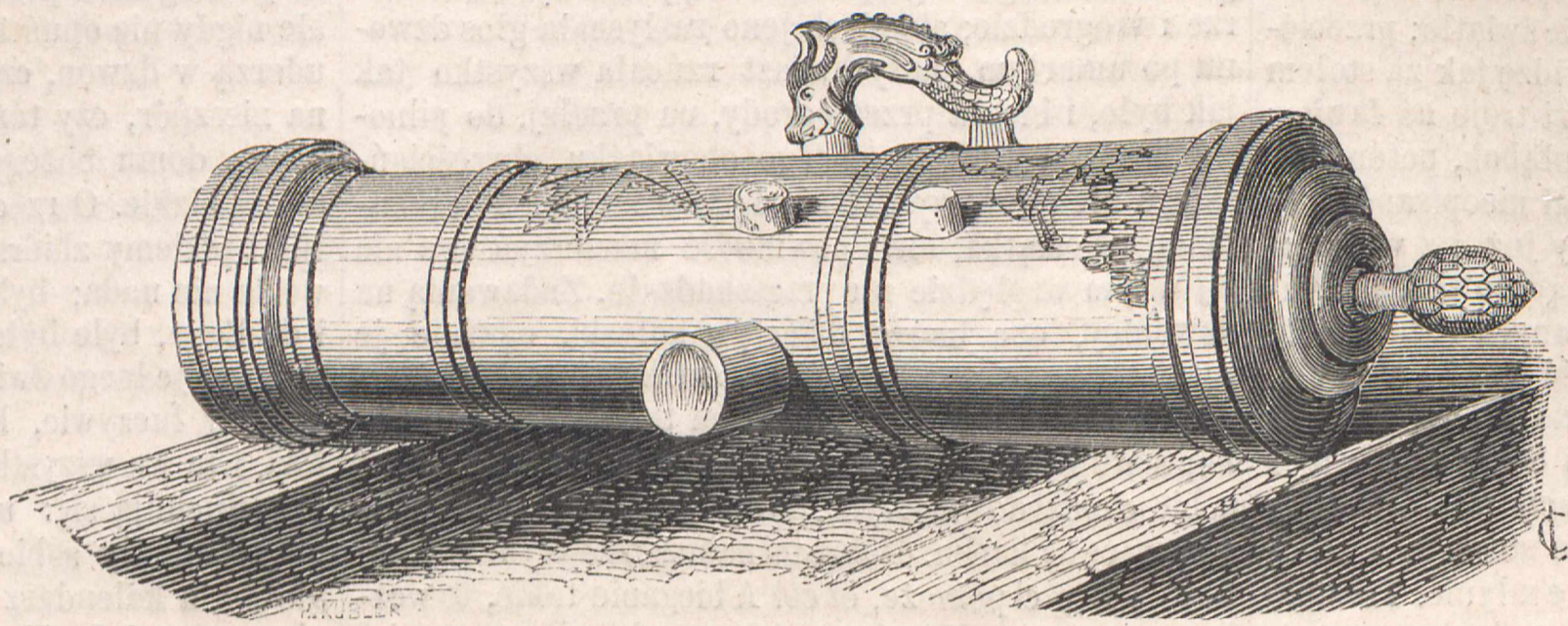
Czarne.

- | | |
|-----------------------|----------------------|
| 1) D 3 — B 2 † . . . | 1) D 4 — E 5 |
| 2) B 2 — C 4 † . . . | 2) D 5 — C 4 bierze. |
| 3) D 1 — D 6 . . . | 3) E 5 — D 6 bierze. |
| 4) C 1 — F 4 † i mat. | |

Gdyby czarne w trzecim posunięciu poszły ko-
niem z E7—D5, to wieża D6—D5 bierze i mat. Gdy
zaś ruszą się inaczej, to koń D8—F7 i mat.

wszystko powtarza się w widzeniach starego i nowego
świata; a co godnego jeszcze w tym względzie uwagi, że

tych wiecznie przedrukowujących się na bibule sen-
ników, lub też poradzmy się w tym względzie ludu,



DZIAŁA POLSKIE Z XVII WIEKU.

misterya religijne, wystawiające stan przyszły dobrych i złych dusz po śmierci, zgadzają się całkiem z temi powieściami zamierających. Można więc wnosić z pewnością, że owa nauka tajemnicza religii politeizmu powstała i była ugruntowaną na objawieniach ludzi w stanie zachwycenia. Zastanawia najwięcej jedność i powszechność symboliki tu się objawiającej. Wiemy że w misteryach starożytnej Grecji i Wschodu wielkiego znaczenia mistycznego były: *pszczola* i *miód*. U ludu naszego pasiecznictwo otacza się do dziś dnia czcią i poszanowaniem. Miód w misteryach był symbolem zbawienia; myto nim ręce, miał bowiem mieć moc oczyszczającą. Jezyk oczyszczano także od grzechów miodem. Miód był podobnie symbolem zmartwychwstania; wiadomo, że Glaukus, wedle mitologii, zmartwychwstał zakosztowawszy syty. U nas na Ukrainie ani pogrzeb, ani modlitwy za umarłych, ani stypa nie obejdują się bez syty i miodu. Pszczołę w wyobrazeniach mistycznych świątyni poczytywano za czystą, ginie bowiem od zgnilizny wszelkiej; ztąd nawet dusze czyste zwano *pszczołami*. Jakże się zdziwiłem, kiedy kobieta jedna, co zamierała, opowiadała mi, że na tamym świecie widziała duszyczki niewinne, zbiegające się w postaci pszczoł nad wazą szczerozłotą syty gorącej i żywiące się jęj parą. Nic jednakże niema w tém dziwnego, kiedy wszystkie inne szczegóły są wszędzie z sobą zgodne. Dusza człowieka, kiedy ciało obumiera, a ona żyje już prawie samodzielnym życiem ducha, widzi wszystko w symbolu i obrazie, jak we śnie, jak w natchnieniu wieszczem, a obrazy te i symbole są zawsze prawie jedne.

Lud tłumaczy sny złe lub dobre; zapewne wiele tu bałamuctwa, i jakkolwiek zdarzają się sny wieszce, większa część marzeń sennych jest tylko nierozplątanym kłębkim złudzeń i dziełem imaginacji rozkołysanej. Co jednakże zastanawia, to jedno i to samo zawsze objaśnianie niektórych snów. Weźmy sennik Cardana, sny prorocze zapisane u Cycerona (de divinatione), wzmianki u Synezyusza, zaglądnijmy do

a zawsze prawie znajdziemy jedno tłumaczenie widzeń sennych. Zęby wypadły z krwią i bólem, znaczą utratę dziecka ukochanego; ogień znamionuje kłótnię albo nieprzyjemność wielką; pszczoły we śnie ogień przepowiadają. Kiedy się śni że rój ucieka, ktoś umrze w rodzinie; kiedy się śni że rój wychodzi, ktoś do rodziny przybędzie. Na Podlasiu, kiedy gospodarz domu umiera, idą stuknąć w ule pszczoł, mówiąc: nie śpijcie, wstawajcie! wasz gospodarz umiera! są bowiem przekonani, że bez tego pszczołyby odpadły.

Ale oddaliśmy się trochę od rzeczy. Mówiąc przecież o przeczuciu duszy i widzeniu pod postacią symbolu tego co się stać ma, powiemy jakie, wedle opowiadań ludu, bywają podobne widzenia na jawie. Chłop jeden opowiadał, że raz latem wracał do domu z pobliskiej wioski; ale doszedłszy do swojej wsi, tak był zmorzony snem, że nie chciał już iść do siebie, tylko położył się spać na wygonie, na leżących tam kłodach sosnowych. Obudziwszy się z półnoka, spostrzegł wedle siebie kobietę jakąś. Nieznajoma mu była, więc przetarłszy oczy, jął się jęj przypatrywać. Ale jakże się przeląkł, kiedy spostrzegł u nięj nogi bydłce: była to *śmierć krowia*, która wkrótce objawiła się we wsi w pomorze bydła.

Choroby wystawiają się zwykle u ludu w postaci kobiety stariej; febra, znana pod imieniem ciotki, występuje zwykle z ogonem i na kurzych nogach. Opowiadał chłop jeden, że młócił raz w stodole, potem oparł się o cep i zamyślił się. Przyszedłszy do siebie, widzi że stoi przed nim kobieta. Przypatruje się, ale dziwna jęj postać i nogi ma kurze. (Potem chorował)

(Ob. Dodatek.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 43.

Sprawiedliwość i prawa są podstawami towarzyskiego porządku pomiędzy ludźmi.

(Dodatek.)

śmiertelnie i ledwo wyszedł z gorączki. Cholera objawiała się ludowi w postaci dziewczki z czerwonym namysem (koralami) na szyi; kiedy miała ustać już w Kijowie, wyszła rogatką jedną i objawiła że już odchodzi. Haxthausen w dziele swoim (Studien ueber Russland) pisze że na Donie Kozacy widywali cholere w postaci kobiety w bótach czerwonych; chodziła ona po morzu, wzdychając ustawicznie. Znaną jest na Litwie *dziewica morowa*. Czasami lud miéwa widzenia, nie wiedząc co one znaczą. Słyszałem od jednego Ukraińca, że raz wracając w nocy widział dwie kobiety piękne; szły one ścieżką pomiędzy żytem, a nad głowami ich unosiło się światelko, jakby gwiazda świecąca.

Lud nieraz w chorobie miéwa zachcienia silne; aż płaczą, tak im się zachciewa jakiej potrawy, na przykład mléka kwaśnego, kwasu, ogórków, wien i t. p. Zwyczajnie, kiedy im dadzą to o co proszą, a oni zjedzą tego obficie *w smak* (ze smakiem), choroba ustaje. Zna medycyna ów instynktowy apetyt ku czemu, jako objaw siły leczącej organizmu, ten sam apetyt, co zwierzę prowadzi do zbawiennój dla niego w chorobie trawki lub ziółka. Najwięcej instynkt ten objawia się w febrach, szkorbucie, chorobach nerwowych, ciąży. Chorzy ludu Ukrainy wyrażają się tak o tém zachcieniu: „aż pachną koło mnie wiśnie albo mléko“. W czasie pierwszego pojawienia się cholery w Paryżu, jeden chory na nią, już nieprzytomnym będąc, wymówił napwół zrozumiałe słowo: brzoskwinia. Lekarz Bourdois dał mu jedną, a natychmiast wymioty ustały, których niczem przerwać nie można było. Potém zjadł ich jeszcze trzydzieści kilka i ozdrowiał zupełnie. Nieraz téż chorzy z ludu śnią o skutecznych dla siebie rzeczach. Przeczucia znowu śmierci blizkiej znane są u nas powszechnie, podobnież dążenie do tego miejsca gdzie ma kogo śmierć spotkać, gdzie ma *głowę nałożyć*, jak lud mówi. Jest wyrażenie: „głowa miejsca, szuka;“ *śmierć siedzi na nosie*, mówi się u nas i na Ukrainie. W Indyach mówią: *śmierć na języku*.

Tu także policzyć należy objawianie się pieniędzy w rozmaitych postaciach, i jest to rzecz niezupełnie urojona bo w skutek podobnych objawień niejedyn chłopiec na Ukrainie wykopał skarb dość znaczny. W każdej wsi o tém znajdziesz powieść jakąś i wskażą ci gospodarza, który z biedaka przyszedł do możliwości, wykopałszy pieniądze. Mówią że skarb chce się oddać komuś, że pieniądze same do rąk leżą. Takiemu szczęśliwcowi pieniądze *objawiają się* bądź we śnie, bądź na jawie, w postaciach rozmaitych. Pieniądze zakopane, kiedy komuś chcą się oddać, śnią się zwykle w postaci staruszka siwego, który mówi gdzie jest skarb zakopany, opowiada miejscowość jego, poznaki pewne i t. d. Sen taki powtarza się do trzech razy, jeżeli powołany ociąga się z przystąpieniem do kopania skarbu. Na jawie skarby palą się płomykiem sinawym. Objawiają się także czasami w postaci kota, capa lub starca z dużym nosem. Za uderzeniem albo pokręceniem za nos, rozsypuje się dziad ów w złoto, srebro albo miedź. Zeszłego roku opowiadały dwie wiejskie kobiety, że kiedy chodziły do boru za rydzami, zaszły w gestwinę i tam ujrzały chłopca nagiego, w siwej czapeczce, który biegał w koło, krył się i wyskakiwał znowu do nich z krzaków. Domyślano się, że w tej postaci objawiały się im pieniądze. We wsi Bendziukówce (pow. kij.) chłopu jednemu często objawiała się w nocy owca, wylaząca z pod pieca do izby. Czasami owcę tę widzieli i inni z rodziny wieśniaka tego. Domyślano się także iż to pieniądze, albo że czart kusi do nich pod postacią owcy; bo skarby dające się same w ręce, nie mają u Ukraińców sławy dobrej; zwykle są oni tego przekonania, że pieniądze wykopane nie idą na korzyść, osobliwie na korzyść duszną człowieka.

Powiecie mi może, czytelnicy moi, że są to czece przesady gminu ciemnego. Zapewne że gra tu rolę niemałą fantazya, że lud, sądząc w rzeczy tej, „przesądził“ ją może; ale i my najpewniej mylimy się nieraz, zwąc opowieści podobne zabobonem ciemnym. „Wiele jest rzeczy na niebie ina ziemi, o których nie śniło się filozofom“ powiedzmy z Szekspirem; bojąc się *przesądu*, nie stajemy nieraz na mierze sądu zdrowego, tam zwłaszcza, gdzie polot ducha przenosi daleko władze normalne sądu ludzkiego. Tysiące

(Dodatek do Nru 44 Tyg. Illustr.)

jest wymysłów i bredni w tej ciemnej sferze przechodzącej władzę zmysłów naszych; ale rama, podstawa, na której się opierają wierzenia ludowe w świat nadzmysłowy i w moc magiczną ducha, w przeczucia, przewidzenia, ma w sobie pewien pierwiastek rzetelny, a mianowicie „wieszczenie.“ W tej podstawie upatruję ja początku i źródła pewnych legend, które potém przez przyrost postronnych dodatków stają się niedorzecznymi i tracą cechę prawdopodobieństwa i osobliwszej jakiejś sympatyczności, pozyskującej ła-two dla siebie uznanie i wiare w umyśle innych.

Antoni Nowosielski.

OSTATNI Z KOSZCZYCÓW.

PODANIE LITEWSKIE Z PRZESZŁEGO WIEKU,

SPISANE PRZEZ

JULIANA HORAINA.

(Dokończenie.)

Jakoś koło owego czasu panowie wysyłali wybranych z pomiędzy siebie posłów do Warszawy, dla radzenia o dobru kraju. Za wielkiem staraniem krewnych i przyjaciół, wybrany został i pan Koszczyc. Pojechał téż z żoną i licznym dworem, rozumié się córki zostawiając w domu. Kiedy tam radzili i wymyślali rozmaite mądre i niemądre projekta, dla ratunku ginącej ojczyzny (powiadają nawet że Koszczyc, z powodu zdrowych rad których udzielał, był bardzo przydatny i użyteczny), pani poczuła się brzemienną raz jeszcze. Wszystkie oznaki i prognostyki zapowiadały tym razem, że to będzie syn; a i sam Koszczyc był o tém najmocniej przekonany. Kiedy więc zbliżał się czas rozwiązania, chcąc aby przyszedł dziedzic Miadziołu urodził się na własnej ziemi, (jak gdyby ziemia całego kraju nie była wspólną własnością wszystkich jego mieszkańców) Koszczyc, przenosząc widoki osobistój dumy nad dobro ogólne, opuścił sejm, na którym, jak powiedziałem, był bardzo potrzebny i użyteczny, i wrócił do swojego dziedzictwa. Przywioził tylko z Warszawy kosztowną kołyskę dla przyszłego dziedzica. A byłaż to cudna owa kołyska! Mój dziad, który często ją oglądał, odchwalił się nie mógł jej bogactwa i misternój roboty. Cała była z jakiegoś kosztownego, czarnego jak węgiel drzewa, wykładana w rozmaite wzory słoniową kością i perłową macicą; po bokach wyrzeźbione były herby Koszczyców i Duninów; nad kolébką umieszczono złocistą koronę, od której spływały adamaszkowe franki, dla zasłonięcia dziecka od owadów, światła, a nawet powietrza. Koronę zaś umieszczono nad kolébką dlatego, aby przypominała ludziom, że dziecko pod nią będące pochodzi z królewskiego rodu.

Nadszedł nareszcie czas rozwiązania; sprowadzono zewsząd najdoskonalszych doktorów, najbieglejsze w babieniu kobiety; sam Koszczyc dzień i noc czuwał przy żonie; a doktorom rozkazał, aby w razie potrzeby poświęcili życie matki, dla ocalenia dziecka. Ale nakaz taki okazał się zbytecznym, gdyż dziecko przyszło na świat we właściwej porze i jaknajpomyślniej. Na ten raz przepowiednie, wróżby i nadzieje Koszczyca spełnione zostały. Był to syn!

„Ojciec odchodził prawie od zmysłów z ukontentowania. Kazał strzelać z armat na cztery strony, aby oznajmić światu całemu o szczęściu które go spotkało; wieczorem wyprawił taką sutą illuminacją i ognie sztuczne, że aż połowa jednéj wioski zgorzała, którą téż zaraz darował ks. karmelitom miadziolskim; wszystkim poddanym odpuścił remanenta i zaległości; sługom od razu wyliczył całoroczną płacę; nawet do zwierząt rozciągała się jego łaska, gdyż koniom stajennym przez cały miesiąc rozkazał dawać podwójną miarę obroku. A cóż dopiero gdy przyszło w kilka tygodni do chrztu! Wszyscy krewni, powinowaci, przyjaciele, znajomi zostali zaproszeni na ten obrząd; samych wojewodów było aż trzech, a w tej liczbie Radziwiłł; biskupów dwóch. Samego nawet króla zaprosił; tylko że król, nie mogąc dla ważnych interesów opuścić stolicy, przysłał w zastępstwie swoim jakiegoś pana, widać szafarza spiżarni, skarbu lub łask królewskich, bo nosił złoty klucz na odzieniu. Nuncyusz w imieniu Ojca św. przysłał faszeczkę wody czerpanej z samego Jordanu, dla ochrzczenia dzieciątka, i wielkiej świętości relikwie, aby niemowlę chroniły od wszelkiego złego. Czter-

dzieści par trzymało panicza do chrztu św., a jakby miało kiedyś królować to dziecko, dano mu dwa imiona: Władysław-August.

Aby zaś nic chłopskiego nie miało w sobie, gdy matka coraz bardziej zapadała na zdrowiu, dano mu za mamkę kobietę ubogą, ale szlacheckiego rodu, którą mąż z jedno-miesięcznym dzieckiem odumarał. Mameczynemu dziecku przystawiono kozę, aby je wykarmiła. Ale mamka potrzebną była tylko dla dania piersi, bo sam ojciec spowijał, kołysał, kąpał swojego synka; czuwał nad nim dzień i noc, pilnował jak żrzenicy oka. Przyznać nawet potrzeba, że odtąd złagodniał znacznie, stał się dostępniejszym dla ludzi, lepszym dla żony. Tylko córki nic na tej zmianie nie zyskały; gdyż zaraz po chrzcinach, wysłał wszystkie sześć do klasztoru p. p. benedyktynek nieświężskich, gdzie krewna jego była naonczas ksienią, z poleceniem aby je sposobić na mniszki. Mój dziad odwoził niebożątka.

„Pomimo jednak takiego chuchania i dmuchania, syn rósł zdrowo i wesoło, jakby to było nie pańskie, ale jakie chłopskie lub dziadowskie dziecko. Już poznawał ojca, uśmiechał się i wyciągał do niego rączkę; już mu się kilka ząbków, prawie bez cierpienia, wyrznęło; już wymawiał „tata,“ już nawet; próbował chodzić o własnej sile. Serce ojcowskie radowało się na widok zdrowego i silnego chłopca, a dumą roita dla niego w przyszłości Bóg wie jakie zaszczyty. Gdy pochlebcy przepowiadali mu koronę, „dlaczego nie?“ odpowiadał Koszczyc, byle dobre sentymenta, każdy szlachetnie urodzony może być królem; a Władysław-August ma do tego większe prawo od Stanisława-Augusta, jako pewno lepszy od niego szlachcie.

„Ale nie ziemską to koronę przeznaczał Pan Bóg owemu dziecku!

„Razu jednego dano znać Koszczycowi, że we wsi o parę mil odległej od dworu, chłopstwo nie chciało słuchać ekonoma, który bez żadnego rachunku pędził je na pańszczyznę. Na takie wykroczenia najzawziętym był Koszczyc. Przywykły do ślepego posłuszeństwa, nie mógł znieść myśli, aby chłop śmiały okazać najmniejszy opór, nietylko jemu samemu, ale i postanowionemu przez niego rządzący. Polecivszy więc najsurowiej mamce, aby na chwilę nie opuszczała dziecka, kazał podać powóz, wziął parę pistoletów, fuzyą nabitą luftkami, nahaj i pojechał do owéj wsi.

„Na sam widok groźnego pana, struchleli chłopci i karność wróciła. Mniej winnych ukarał batogami, przywódców zaś kazał zakuć w łańcuchy, dyby i kłódki i prowadzić do dworu, gdzie miał ich sam osądzić. Przywróciwszy w ten sposób porządek, już pod wieczór wybrał się z powrotem do domu, aby jak zwyczajnie przepędzić noc przy jedynaczku.

„Wypadało mu przejeżdżać przez własną puszcę, do której wrąb był zakazany chłopom, aby rąbiąc drzewo nie płoszyli zwierzyny. Ledwo tam wjechał, posłyszał uderzenia siekiéry. Chcąc ukarać zuchwalca, który śmiał przestąpić jego zakaz, wysiadł z powozu, wziął fazyą, kazał furmanowi czekać na siebie, i poszedł w stronę, z której dawały się słyszeć uderzenia siekiéry; a było do tego miejsca staj z kilkoro. Łamiąc się przez chrasty i zawały, zbliżył się nareszcie tak, iż postrzegł chłopka rąbiącego gałęzie, które składał na nieco opodal stojący wóz zaprzężony. Ale i chłop go postrzegł, a wiedząc że z tak groźnym panem żartów niema, odrzekł się wozu i konia i zaczął biedak uciekać co sił starczyło. „Stój! czekaj!“ wołał pan, ale rozkaz ten, zamiast zatrzymać, jeszcze sił uciekającemu dodawał. Wówczas Koszczyc porwał fuzyą, przymierzył i wystrzelił w uciekającego. Zranił go téż okrótnie; ale chłopiec uciekał ciągle, dobywając ostatnich sił, a kiedy widział że już siły go opuszczają, wlaź w znaną sobie oddawna wypróchniałą lipę, która go skryła od poszukiwań mordercy.

„Tymczasem niebo pokryło się chmurami, mrok zaczął zapadać, błyskawice przebiegały po niebie i grom zwiastujący burzę dawał się słyszeć w oddali. Koszczyc, złorzecząc i przeklinając, ledwo trafił do powozu i kazał jaknajspieszniej pędzić do dworu. Ale niepodobieństwo było prędko jechać, bo droga była zła; przytém zrobiło się tak ciemno od chmur, że choć oko wykol. Wkrótce lunął dęszcz nawalny, grom zaczął bić po gromie, a tylko błyskawice chwilowo rozświecały ciemną puszcę. Jechali tak kilka godzin. Już i północ minęła; powinnyby dawno być w domu.

Wówczas dopiero spostrzegli, że zbłąkali się w puszczy, bo zamiast wziąć się na prawo, pojechali prosto w głąb lasu.

„Koszczyce rozzłoszczony porwał się na furmana, ale w tej chwili grom uderzył tak blisko, że aż konie przypadły do ziemi; wicher przeleciał nad puszcza, złamał starą sosnę nieopodal stojącą i zawałił nią drogę, a w świsie wichru wyraźnie dał się słyszeć wyraz „synu!”

— Jezus! Marya! Józef! krzyknął Koszczyce, nieszczęście jakieś spotkało mojego dziedzica.

— „Cha! cha! cha! synu!” odpowiedział głos jakiś niewiedzieć z kąd pochodzący. „Cha! cha! cha! synu!” powtórzyły echa puszczy i wszystko umilkło; tylko deszcz rześisty lał ciągle.

„Koszczyce, bezprzytomny prawie, porwał pistolety, zeskoczył z powozu i popędził w głąb lasu.

„Wkrótce zaczęło dzień: rozwidniło się w lesie, furman objechał jako tako wywróconą sosnę i ruszył w stronę dokąd się pan pieszo udał.“

* * *

Starzec zamilkł. Prąd rzeki płynącej przez całą długość jeziora zaczął unosić łódkę nie w tę stronę w którą płynąć nam wypadało; wzięliśmy się więc oba do wiosł i wydobywszy się z prądu, płynęliśmy spokojnie ku dworowi, którego okna zajaśniały w tej chwili od światła wewnątrz domu zapalonego.

— Ot, już i wasi wrócili z gościny. Chcielibyście może już być tam na miejscu i słuchać opowiadań jak się bawiono, co robili, co słyszeli; a tu jeszcze z pół godziny musicie płynąć ze starym Jasiukiem i słuchać jego gawędy, która już was może znudziła.

— Broń Boże, ojcze; mówcie tylko dalej, a będę słuchał choćby rok cały.

— A was, jeśli zechcecie opowiedzieć coście o demnie usłyszeli, czy słuchać także będą?

— Wątpię bardzo. Ale słowik śpiewa i żabaskrzeczy, nie pytając oto czy ich kto słucha; śpiewają i skrzeczą najczęściej sami sobie, bo w naturze ich jest śpiewać i skrzeczeć. Mów dalej, mój dziadku.

„Po odjeździe pana, kończył rybak, a pierwszy to raz od urodzenia syna był wyjechał, w Koszczyco-wym dworze stało się jakoś swobodniej: pani przyszła do pokoju jedynaka, a mamka, której zakazano wychodzić z pałacu, wymknęła się cichaczem na folwark, dla obaczenia własnego dziecka. Prędko jednak wróciła nazad, lękając się aby pan nie nadjechał. Pani jakoś czulej owego dnia ścisnęła swojego synka i rzewniej płakała, myśląc o losie córek, które bez powołania skazane zostały na życie klasztorne. Wkrótce dziecko zasnęło: złożono je do owej kosztownej, czarnej z białymi ozdobami, jakoś żalobnie wyglądającej kołyski, pani odeszła, a mamka zaczęła kołysać i przyspiewywać wychowańcowi. Długo chłopczyk spał smacznie, ale ku wieczorowi, właśnie gdy pan sądził i karał srodze nieposłusznych chłopów, sen dziecka zrobił się jakoś niespokojny, zaczęło się przewracać w kolébcie, wołać przez sen: „tato! tato!” i o zmroku, w chwili gdy ojciec wracający przez puszcza do domu strzelił do owego chłopkarą-biącego drzewo, dziecko nagle przebudziło się z krzykiem. Rączki i główka dziecińcy były gorące, oddech przyspieszony, widocznie dostało gorączki. Córka mojego dziada, a moja ciotka, która także wzięta do dworu, przeznaczoną była pod rozkazami mamki na usługi panicza, pobiegła przygotować rumianku; ale dziecko pić nie chciało, a tylko płakało ciągle, tak iż w żaden sposób utulić go nie było można. Potem zaczęła się burza, błyskawice, grzmoty, a dziecko jeszcze bardziej było niespokojne. Nareszcie koło północy zdrzemało się, a i mamkę sen zmorzył; położyła się więc sama do łóżka, a dziecko wzięta do siebie i zasnęła snem twardym.

„Już słońce było wysoko, burza ucichła, na świecie zrobiło się jakoś dziwnie wesoło. Ciotka moja, naówczas piętnastoletnia dziewczyna, już była wstała i odmawiając ranne pacierze, krzątała się koło kominka, gotując zaciereczki dla panicza;—gdy wprzyległym pokoju dał się słyszeć krzyk: „ja nieszczęśliwa!” i zaraz potem wyskoczyła z niego mamka w jednej koszuli, i przerażona, ze wzrokiem obłąkanym, biegła ku drzwiom.

— Co się wam stało, Karolowa? pytała moja ciotka, biorąc ją za rękę, dokąd bieżycie?

— Do jeziora! puść mię! Do jeziora Hanulo! na samo dno! Niema dla mnie miejsca na ziemi, chyba

na dnie jeziora! Odtrąciła moją ciotkę i pobiegła dalej.

„Nie pojmując co to wszystko znaczy, Hanula weszła do dzieciennego pokoju, rozsunęła firanki i zająrzała do kołyski; ta była pustą, ale na łóżku mamki obok stojącym, leżał martwy synek Koszczyca! Nieszczęśliwa kobieta przyspała dziecko! Położywszy je przy sobie zasnęła, przygniotła własnym ciężarem i zadusiła.

„Ciotka moja, przerażona na ten widok, miała tylko tyle przytomności, że dla odwrócenia podejrzenia od mamki, porwała ciało dziecińcy z łóżka i złożyła do kołyski, a sama, nie wiedząc co z sobą począć, schowała się w tymże pokoju za piec i czekała co dalej będzie.

„Tymczasem mamka, dobiegłszy niepostrzeżona do jeziora, rzuciła się bez namysłu w wodę.

„Na szczęście, a raczej na nieszczęście biędnej kobiety, rybacy, którzy, jak my teraz, pływali po jeziorze, postrzegli tonącą, podплыnęli prędko, wyciągnęli na brzeg i zanieśli do dworu zemdloną, ale jeszcze żywą.

„Kiedy zebrani dworscy ludzie krzątała się ratując topielicę, Koszczyce sam, piechotą, wszedł na dziedziniec. Postrzegłszy zbiegowisko, a wśród niego kobietę, tarzaną na beczce, aby wyrzuciła z siebie wodę której się opila w jeziorze, zapytał przechodząc mimo:

— Co to jest?

— Mamka się utopiła, odpowiedziano z gromady.

— Chryste Panie! krzyknął—nieszczęście z dzieckiem! I skoczył do pałacu.

„Przebiegłszy kilka pokojów, wszedł do dziecienną izbę, rzucił się do kołyski i oderwawszy gwałtownie firanki, postrzegł na białej pościółce, pod złotą koroną, bielsze jeszcze, ale martwe ciało swojego synka. Porwał go zrazu na ręce, nie wierząc sam swoim oczom, podniósł do okna, a widząc że już wszystko skończone i żadnego niema ratunku, rzucił dziecko napowrót do kołyski, a sam wybiegł na dziedziniec.

„Tymczasem mamkę otrzeźwiono.

— Coś zrobiła z moim dzieckiem? krzyknął głosem tak strasznym, że aż wszyscy zadrżeli.

Biędna kobieta rzuciła mu się do nóg i łkając mówiła:

— Przyspałam go mimowolnie, panie! Przebaczył albo pozwól mi umrzeć.

— Przyspałaś! — już nie mówił ale ryczał — przyspałaś ostatniego Koszczyca, potomka królów duńskich, i myślisz że jest na świecie całym człowiekiem, któryby tobie przebaczył taką zbrodnię!

„Mamka, słysząc te słowa i spojrzawszy na groźnego pana, nanowo zemdlęła. Istotnie strach było patrzeć na tę twarz pałającą zemstą i wściekłością, na te oczy ciskające iskry. Wszyscy też pouciekali; śmielsi skryli się za węgły domostw, trwożliwi rzucili się w konopie, inni pobiegli schować się aż do klasztoru oo. karmelitów.

— Hola! ludzie! — wołał rozszarty pan. Otrzeźwić tę nędznicę i pilnować jak żrenicy oka! Życiem swoim za nią mi odpowieć!

„Ale ludzi nie było. Na głos ten podbiegli tylko dwaj hultaje, jakieś Bóg wie z kąd przybłądy, gotowi na rozkaz pana spełnić wszelką zbrodnię. Pod ich więc dozór oddał nieszczęśliwą, a sam, złapawszy wracającego z końmi furmana i jakiegoś włóczęgę kramnika, kazał im kopać dół głęboki, niby studnię nad samem jeziorze. Wykopano prędko dół, ale gdy pan kazał wstawić weń żywą mamkę i zasypać ziemią, to i furman i ów włóczęga kramnik, pomimo groźb i rozkazów, obaj uciekli: zostali tylko dwa łotry, co to, jak powiedziałem, gotowi byli na wszystko. Ci więc wstawili nieszczęśliwą kobietę nagą w dół i zasypali ziemią, tak iż tylko jej głowa wystawała nad powierzchnią.

„Wielkie było przerażenie w całym dworze, który w momencie opustoszał. Pani, gdy się dowiedziała o śmierci dziecka i o męczeństwie mamki, zasłabła tak mocno, że musiano ją położyć do łóżka, z którego wstać o własnych siłach nie mogła.

„Gdy wieść o tém wszystkiem doszła do klasztoru, przeor, z krzyżem w ręku, w asystencyi dwóch zakonników, udał się do dworu, pod pozorem pogrzebania dziecka, pocieszenia rodziców, a rzeczywiście aby wymodlić przebaczenie dla mamki. Ale pan kazał zatarasować drzwi pałacu i postawił owych dwóch na

warcie, z rozkazem aby nikogo nie przypuszczali do niego. Księża więc odeszli z niczém, sam zaś, z muszkietem w ręku, zasiadł w pałacu przy oknie, dla pilnowania ofiary swojej zemsty, grożąc że zastrzeli każdego, kto by się zbliżył do niej ośmielił.

„A było to w najpiękniejszy poranek wiosenny, jaki zwykle następuje po burzliwej nocy. Słońce jasno świeciło na niebie, promienie jego odbijały się w tyśiącznych kroplach pozostałych po dżdżu, pokrywających liście drzew i roślin; jezioro było tak spokojne, że wydawało się jedną wielką taflą zwierciadlaną; tylko jaskółki unoszące się nad niem muskały skrzydełkami jego powierzchnię; skowronki, zawieszane niby w powietrzu, nóciły ogromnym chórem; lecz śpiew ich głużyły jęki męczennicy i przerażały nietylko ludzi, ale i zwierzęta.

„Tymczasem po wsiach zbierały się gromady, radząc jakby wyswobodzić nieszczęśliwą. Chcieli iść wszyscy razem i wyciągnąć żywo zagrzebaną do grobu ofiarę złości ludzkiej; ale nie było nikogo coby stanął na czele, poprowadził gromadę i pierwszy się poświęcił; ztąd też podchodzili trwożliwie i cofali się na widok muszkietu. Myśleli że w nocy będą śmielsi. Ale gdy noc nadeszła, zjawili się niewiedzieć z kąd nowi stróże, dla pilnowania aby zbrodnia została dokonana: były to trzy ogromne, czarne psy, których nikt przedtém w okolicy nie widział, a tak wściekłe, tak zażarte, że zdaleka nawet strach było na nie patrzeć. Skoro postrzegły lub poczuły zbliżającego się człowieka, warczały, szczekały i rzucały się w tę stronę; koło wystającej zaś nad ziemię głowy mamki, skakały, wyszczerzały zęby, niby do uśmiechu, i kręciły ogonami, jakby radując się z popelnionej zbrodni.

„Noc była jasna jak dzień. Jeden z gromady, strzelec doskonały, który nie znał prawie co to jest pudło, podkradł się cichutko na jakie pięćdziesiąt kroków, przeżegnał się, wziął jednego z owych psów na cel i wypalił. Pewny był że go trafił, a jednak pies zażgrzytał tylko zębami, a nic mu się złego nie stało. Potem gromada była przekonana, że to nie psy, a czarci przybyli pomagać Koszczycowi. Ktoś powiedział: „z piekłem nie wojować“, i wszyscy opuścili ręce i czekali bezczynnie, sądząc że jak kur zapieje, to owe straszne stróże zginą; ale kur zapiał raz, drugi i trzeci, a stróże nocni nie schodzili z miejsca. Tak tedy przez noc całą Koszczyce z muszkietem we dworze, a biesy na dworze, czuwali, aby nikt nie dał ratunku żywo zagrzebaną. A księża w kościele, dokąd zeszły się i gromady, modlili się tylko, prosząc Boga aby dał upamiętanie tyranowi, kazali modlić się gromadzie i czekać co Bóg da.

„A biędna kobieta, żywa jeszcze, choć pogrzebana, jęczała z początku boleśnie, a tak głośno, że w okolicznych nawet wsiach i za jeziorem słycać ją było. Ale dalsi ludzie, zamiast iść na pomoc, mówili: „A co nam do tego? Pan Koszczyce ma prawo rządzić się jak chce w swoim majątku, a my nie mamy prawa wtrącać się w jego rządy!“

„Zaczął świtać; mamce, która jęczała noc całą przeklinając mordercę, zabrakło nareszcie głosu, a nawet jęku; umilkła, modląc się tylko i w myśli polecając duszę Bogu... Wówczas ludzie powiedzieli: musiało jej zelżeć, kiedy już nie jęczy.

„Z pierwszemi promieniami słońca wyszli księża z kościoła, niosąc Przenajświętszy Sakrament. Znikły natychmiast owe trzy czarne widma, ale wyszedł Koszczyce, zawsze uzbrojony, z pałacu. Myśleli ludzie że serce jego złagodniało, że noc może przyniosła mu dobrą radę, że zlituje się nad nieszczęśliwą; ale on podszedł do niej i dodając zniewagę do męczeństwa, uderzył ją w policzek!

„Był to cios ostatni! W téjże chwili skonała męczennica; głowa jej opadła, tylko oczy z roztwartemi powiekami patrzyły jakoś okropnie pośmiertnym wzrokiem.

„Księża, widząc że już po wszystkiem, wrócili z Przenajświętszym Sakramentem do kościoła i zaczęli odmawiać pacierze za umarłą.

„Jak tylko zbrodnia została dokonana, Koszczyce natychmiast kazał zaprzęgać powozy, zabrał co było kosztowniejszego, włożono chorą panią do kolasy i pojechał w świat, nikomu żadnych rozkazów nie dawszy.

„Skoro ludzie poukrywani to tam, to owdzie, obaczyli że już i pył za nim zniknął, rzucili się wszyscy hurmem odkopać ramkę, sądząc że jeszcze ratunek zdoła przywrócić ją do życia: ale już było za pó-

żno, dusza męczennicy uleciała do nieba i w owę chwilę pewno błagała Stwórcę o sprawiedliwość dla zabójcy, lub może o przebaczenie.

„Widząc że już tu pomoc ludzka na nic przydać się nie może, gromada zrobiła prędko trumnę, złożono w nią po chrześcijańsku nieboszczkę, przyszedli księża, poświęcili mogiłę, pomodlili się za duszę i pochowali w tém samym miejscu, gdzie wprzód była żywcem zakopaną. W kilka dni potem wymurowano słup na pamiątkę, niby pomnik grobowy dla męczennicy.

„Pochowawszy mamkę, poszli wszyscy całą gromadą do dworu, bo nikt nie śmiał wejść sam jeden. Pałac był pusty; przeszli kilkanaście pokoi i żywej duszy nie postrzegli, tylko wiele kosztownych sprzętów, których nikt z gromady nietylko sobie przywłaszczyć, ale nawet dotknąć nie chciał i nie śmiał. Dopiero w pokoju dzieciennym ujrzeni w herbownej kołysce ciało dziecka, a rozpatrując wszystkie kąty, postrzegli za piecem, pół martwą ze strachu i gorączki, moją ciotkę Hanulę. Uspokojono ją trochę i zaniesiono do chaty, dziecku zaś zrobiono prostą z sosnowych desek trumienkę i pochowano je uczciwie w sklepach kościelnych.

„Pałac, w przekonaniu że po takim czynie Koszczyc nigdy już do niego nie powróci, ze wszystkiém co w nim było zamknięto na głucho, klucze wrzuciono do jeziora i okna nawet zabito deskami.

„W chacie naszej, dokąd i mój dziad, nie mając już zajęcia w pałacu, powrócił, Hanula przez kilka tygodni walczyła ze śmiercią. W czasie choroby, a i później nawet, dziwne opowiadała rzeczy o nocy przepędzonej za piecem, w pokoju nieboszczyka panicza, w którym też przy oknie siedział sam pan z fuzją; ale że to wszystko mogło się ję wydać ze strachu i z gorączki, ja wam tego powtarzać nie będę.

„Długo nie miano we wsi, a nawet we dworze, żadnej pewnej wiadomości o Koszczycu, ani o samej pani, której, że była dobrą, pobożną i litościwą, szczerze wszyscy żalowali. Z pewnością to tylko było wiadomo, że sprzedał jeszcze parę wsi odleglejszych od fundum, a sam wyjechał do ciepłych krajów. Chodziły wprawdzie głuche wieści, że zjechał aż do papieża, że nikt, nawet sam ojciec święty, nie chciał dać mu rozgrzeszenia, tylko naznaczył jakąś bardzo srogą pokutę; że sama pani umarła; że z owych dwóch hultajów, którzy z nim pojechali, jednego powieszono za jakieś łotrstwo, a drugi, okradłszy państwa, sam uciekł i t. p. rzeczy. O zbrodnię nikt się nie upomniał, nikt nie śmiał lub nie chciał wziąć delacji, a samo prawo nikogo w takim razie nie ściagało. Tylko ludzie źle z tego wróżyli; przepowiadali wielkie nieszczęścia dla całego kraju, i te się sprawdziły.

„A dwór samotny tak opustoszał, tak ludzie od niego odwykli, że nawet drogę prowadzącą z miasteczka do klasztoru przez sam dziedziniec dworski, przełożono na objazd; do pałacu zaś stojącego pustką, chociaż jeszcze zawierał wiele kosztownych sprzętów, złodzieje jednak wdrzeć się nie próbowali.

„W kilka lat po odjeździe państwa, ksiądz przeor karmelitów otrzymał list od Koszczycy, a przytém puszkę złotą, w której było zamknięte serce samej pani, zmarłej w Rzymie; prócz tego tablicę marmurową, a na niej złotymi literami wyrażono: że to na pamiątkę „Zofii z Duninów królów duńskich Koszczycowej i t. d.“ Śnadź jeszcze nie opuściła go była owa дума szatańska, powód jego wszelkich zbrodni. Tablicę przeor kazał wmurować w ścianę po lewej stronie głównego ołtarza, a puszkę z sercem matki umieszczono w sklepie przy trumience synka. Tablica dotąd w całości pozostała i można ją widzieć, ale puszkę ze złotej przemieniła się w blaszaną, na serce zaś nikt się nie pokusił.

„Upłynęło jeszcze lat kilka, gdy jednego poranku, właśnie w rocznicę zakopania mamki, rybacy łowiący ryby na jeziorze, postrzegli kłęczącego przy owym słupie człowieka. Ciekawi ktoby to był taki odważny, co wszedł na dziedziniec pałacowy, gdy każdy omijał go z daleka, podpłynęli jeszcze bliżej; ale jakież było ich przerażenie, kiedy w owym kłęczącym poznali swojego pana. Istotnie był to sam Koszczyc, tylko już nie ten co przed dziesięcią laty. Czas, a więc jeszcze zgryzota sumienia, zmieniły go do niepoznania; wyniosła niegdyś postać zgarbiła się i pochyliła ku ziemi, kruczony włos zbierał zupełnie, wzrok, w gniewie bywało skry ciskający, zrobił się jakoś obłąkany i przyćmiony.

„Przerażeni widokiem pana rybacy, odpłynęli prędko i dali znać o jego powrocie do wsi. We wsi także wszyscy przelekli się, sądząc że zechce znowu po dawnemu panować. Ale nie do panowania mu było: przybywszy Bóg wie z kąd i jak, zaczął pokutować w tém właśnie miejscu, gdzie najwięcej nabroił.

„Nikogo z ludzi nie zaczepił i do niego też nikt się nie zbliżał. Zamieszkał w dawnym swoim dworze, czego rozumie się nikt mu nie wzbraiał, i sam sobie wystarczał. Bywało raz w tydzień, albo i rzadziej, pójdzie do miasteczka, kupi u Żydów chleba; codzień, pomodliwszy się wprzód na grobie ofiary swojej, zacerpnie dzbanem wody z jeziora i na tém przestaje; a nigdy sobie nie gotował strawy, ani mieszkania nie ogrzewał, bo nigdy, nawet zimą, nie widziano dymu z pałacowego komina, ani światła z okna; a jedno tylko okno odbił, właśnie to od dzieciennego pokoju, przy którym przebył na czatach ostatnią noc: wszystkie inne okna jak były zabite, tak i zostały.

„Razu jednego kommissarz, który rządził majątkiem przez cały czas nieobecności pańskiej, wyspowiadał się wprzód i przyjąwszy komunię św., odważył się pójść do pałacu, dźwigając dwa wielkie wory samego złota; były to pieniądze zebrane przez ostatnie lata z dochodów majątku. Przeszedłszy kilka pokoi pustych i salę jadalną, w której portrety przodków Koszczycy były zasłonięte czarnym pokryciem, wszedł nareszcie do pokoju dzieciennego. Znalazł w nim wszystko jak było dawniej, tylko z nad kołyski dziecienną zdjęto koronę i herby podrywano, a sam pan kłęczał przy oknie i modlił się gorąco. Długo czekał końca modlitwy; nareszcie pan powstał, a kommissarz, nisko się ukłoniwszy, powitał go słowy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen, odpowiedział. Dziękuję wam żeście przyszli odwiedzić biédnego grzesznika. A czego to chcecie odemnie? Co ja dla was mogę uczynić?

— Przyszedłem, jaśnie panie, zdać sprawę z zarządu dobrem pańskim; oto księga rachunków, w której wszystko wiernie zapisano, a oto pieniądze zebrane.

— Pieniądz! a na co mi one potrzebne? Dajcie mi spokój sumienia, jeśli dać go możecie.

— To tylko Bóg miłosierny dać może, odpowiedział. Ale z tém co mam czynić? dodał wskazując na wory złota.

— A dziecko Karolowej, czy żyje?

— Żyje.

— Oddajcie więc to biédnej sierocie. Niech mu choć w części tém wynagrodzę morderstwo matki. Na przyszłość zaś co zbierzecie, oddawajcie na chwałę Boską i dzielcie między nieszczęśliwych i biédniejszych włościan, a nie zapominajcie i o tym, którego w lesie postrzelili.

— Może jaśnie pan przeznaczy co dla córek? ośmielił się zapytać kommissarz.

— A co się z niemi dzieje?

— Po odjeździe państwa, krewni wzięli je z klasztoru i już wszystkie wydali uczciwie za mąż.

— Czy za szlachtę przynajmniej? zapytał prędko; ale w tymże momencie, bijąc się w piersi, dodał: odpuść mi panie tę resztę niepocziwej szlacheckiej dumy.

— Za zacnych i godnych obywateli, odpowiedział kommissarz.

— Niech im Pan Bóg dopomaga i tym którzy się ich losem zajęli. Och, gdybym był godzien przynajmniej je pobłogosławić, ale lękam się aby to nie przyniosło im nieszczęścia. Po mojej śmierci niech się podziela majątkami i używają ich na chwałę Boską, a na pożytek dla ludzi i siebie. Poproś także przeora aby mię odwiedził, bo mnie samemu niewolno wchodzić do miejsc poświęconych chwale Bożej.

„Na tém skończyła się rozmowa. Koszczyc ukląkł i zaczął się modlić, a kommissarz po cichu wyniósł się z pałacu.

„Kiedy opowiedział przed gromadą rozmowę swoją z panem, kiedy się dowiedziano o jego pokucie, skrusze i pokorze, przestano się go bać w okolicy, a serca ludzkie, w których zawsze jest, choć na dnie, cząstka miłosierdzia Boskiego, przychyliły się ku niemu. Już nie potrzebował więcej kupować chleba u Żydów, bo własni chłopci składali mu jałmużnę w naturze. Z początku znosili kto eo mógł, ten chleb, ów ciepłą strawę, inni nareszcie bogatsi prosięta lub kury pieczone, i kładli przy wejściu do pałacu; ale postrzegli prędko, że chleb tylko przyjmował, mięsa zaś

i ciepłej strawy nie tykał; więc gdy każdy chciał mieć udział w karmieniu swojego pana, urządzili porządek między sobą, i każda chata z kolei przysyłała codzień bułkę świeżego chleba do dworu.

„Ksiądz zaś przeor często chodził do pałacu, spowiadał pokutnika, ale dać mu rozgrzeszenia, a tém bardziej przypuścić go do stołu Pańskiego, nie śmiał.

„Tak pokutował lat kilka: ludzie przestali go unikać; spotkawszy pozdrawiali, na co odpowiadał im zawsze łagodnie i uprzejmie; dzieci nawet wioskowe, choć nie pojedynczo, to gromadnie, w dzień świąteczny chodziły bawić się na dziedziniec pałacowy, a latem otrząsać jabłka i gruszki do dworskiego sadu, w czém nikt im nie przeszkadzał. Koszczyc już prawie pogodził się z ludźmi, ale z Bogiem śnadź jeszcze zgody nie było.

„Bóg, a jak niektórzy utrzymywali, on sam z woli Bożej, przeznaczył sobie inną, daleko sroższą i okropniejszą pokutę za życia.

„Jednego razu, na wiosnę, właśnie w dzień, w który jako w rocznicę śmierci dziecka i męczeństwa mamki, odprawiało się za ję duszę żałobne nabożeństwo w kościele, zauważano że chleb leżał nietknięty na ganku pałacowym. Wnieśli z tego ludzie, że pokutnik albo zachorował, albo poszedł pokutować gdzie indziej. Dano znać o tém do klasztoru. Przeor, wzięwszy na ten raz ze sobą Przenajświętszy Sakrament, służkę kościelną z dzwonkiem i dwóch zakonników, udał się do pałacu; za niemi poszli kommissarz i kilku starszych z gromady. Wszedłszy do owego dzieciennego niegdyś pokoju, ujrzeni wszyscy krzyżem leżącego pokutnika. Sądząc że się modli, stali czas jakiś w milczeniu; ale gdy żadnego znaku życia nie dawał, zbliżyli się, podjęli go i postrzegli że nieżył. Urządzono więc naprędce w wielkiej sali portretowej katafalk z tapczaną przykrytego całunem, złożono na nim umarłego, przyniesiono lichtarze i świece kościelne i ostawiono go niemi; księża zostali modlić się przy umarłym, a ludzie poszli robić trumnę. Przed wieczorem jeszcze dół był wykopany i prosta z dębowych desek trumna gotowa: włożono w nią, jak był, umarłego, zesłała się gromada i już w nocy, z pochodniami, zaniesiono go na cmentarz Księży, przez wzgląd że to kollator, pozwolili go pochować w święconej ziemi; spuszczone do dołu trumnę i każdy z obecnych rzucił garstkę piasku na wieczny odpoczynek umarłemu. Zasypawszy grób, pomodlili się i rozeszli wszyscy, aby nazajutrz zebrać się znowu na żałobne nabożeństwo za duszę nieboszczyka pana swojego.

„W nocy wartownicy dworscy i klasztorni słyszeli jakieś stłumione jęki z cmentarza wychodzące; ale sądząc że to krzyk sowy albo jakiej pokutującej duszyczki, może nawet zmarłego pana, zmówili tylko „Anioł Pański za dusze w czyścicu będące, z niskąd ratunku nie mające.“ Jęki nad ranem ucichły; wartownicy, wróciwszy do domu, opowiedzieli swoim o owych jękach, a jak zeszedli się na egzekwie, już wszyscy o tém wiedzieli. Dowiedzieli się i karmelici. Przerażeni myślą, że mogli przez nieostrożność żywego zagrzebać człowieka, kazali prędko odkopać dół i wyjąć trumnę. Dziwne są wyroki Boskie! Kiedy odbito wierzch trumny, przerażający widok przedstawił się ich oczom! Trup był przewrócony, zsiniały od gwałtownych konwulsyj, sam z bólu i rozpaczki pokąsał własną rękę! Jedni tłumaczyli to przez prosty przypadek, drudzy widzieli w tém zrzędzenie Opatrzności, a byli i tacy którzy utrzymywali, że Koszczyc sam sobie taką srogą karę przeznaczył, i dlatego, aby być żywcem zakopany, udawał tylko umarłego. Bóg święty wie kto miał słusność. Wszakże zgryzota sumienia mogła go zmusić do tak rozpacznej pokuty.

„Dla wszystkich jednak wypadek ten stał się przykładem, do czego może doprowadzić pycha i dumarodowa.

Starzec zamilkł: * * *
płynęliśmy jeszcze czas jakiś spokojnie, a potem uczuliśmy wstrząśnienie, znak że łódka przybiła do brzegu. Wysiedliśmy obaj, pomogłem staremu wybrać ryby z czołna do torby, i ściskając mu serdecznie rękę, zamówiłem sobie jego towarzystwo na dzień następny.

On zaś pożegnał mię słowy, któremi i ja was, mili czytelnicy, teraz żegnam.

— Kiedy zechcecie, mówił, a Bóg dożyć pozwoli, zobaczmy się jeszcze; a tymczasem bądźcie zdrowi i westchnijcie czasem za duszę ostatniego Koszczycy!

DONIESIENIA.

ZNAKOMITE ZBIORY ARTYSTYCZNE
pozostałe po

śp. **Janie Feliksie PIWARSKIM**

składające się:

1. Z wielkiej i rzadkiej kolekcji rycin i rysunków, tak krajowych, jako też i zagranicznych artystów. — 2. Z obrazów olejnych, gwaśzów i akwareli, dawniejszych i nowszych mistrzów. — 3. Z własnych prac i różnoczasowych wydawnictw śp. Piwarskiego. — 4. Z modeli gipsowych i wzorów rysunkowych dla kształcącej się w sztuce młodzieży. — 5. Z znacznego księgozbioru, odznaczającego się dziełami sztuki wyższymi, szczególnie dla rysowników, budowniczych, inżynierów i techników. — 6. Z różnych utensyliów i materiałów artystycznych. są do nabycia z wolnej ręki, w domu nr 1303 (36 nowy), przy ulicy Nowy Świat, na 2m piętrze, gdzie dzwonek na lewo, od godziny 10ej rano do 7ej wieczorem.

— Do księgarni **G. Gebethner** i spółki w Warszawie, **J. Zawadzkiego** w Wilnie i **L. Idzikowskiego** w Kijowie, oddane na skład główny następujące wydane dwa w Petersburgu dzieła: *Zasady ekonomii politycznej* J. S. Milta, tłumaczenie z angielskiego, 2 tomy str. 428 i 559. Cena rs. 2 kop. 40. — *Litość w stosunku do cywilizacji*, Dra Pernerera, tłumaczenie z niemieckiego, str. 152. Cena kop. 25.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,
w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła:

Chronologia dziejów Królestwa polskiego dla młodego pokolenia, ułożył Szymon Konopacki, 2 tomy, Żytomierz 1860. Cena rs. 2. — *Dodatek do chronologii dziejów Królestwa polskiego*, przez Szymona Konopackiego. Cena kop. 20. *Ecclesiastes Salomona*, wierszem polskim tłumaczony przez ks. Patrycego Mnińskiego, wydał z rękopisu i wstępem powiększył Edward Maryan Galli, Żytomierz 1860. Cena kop. 20. — *Godzina czytania, dzieciom ku rozrywce i nauce*, ułożył autor *Wieczorów w Ojcowie*, Żytomierz 1860. Cena kop. 65. — *Opowiadanie o Królu Janie III.* przez Karola Szajnochę, Ska, Żytomierz 1860. Cena rs. 1.

NAKLĄDEM

B. M. WOLFFA

w St. PETERSBURGU,

wyszło i jest do nabycia we wszystkich księgarniach Warszawskich i na prowincyi nowe dzieło p. t. **Słowo dziejów polskich**, napisał W. Koronowicz, 3 tomy Ska, Lipsk 1859/60. Cena rs. 12. Szanowni prenumeratowie zechcą zgłosić się po odbiór tomu 3go, gdzie przedpłatę złożyli. Skład główny w księgarni Henryka Natansona, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 17.

Wyszła z drukarni **JÓZEFA UNGRA**

Komedia w 2ch aktach,

PONASZEMU,

wierszem napisana

przez Zygmunta Hlebickiego Józefowicza.

Nagrodzona akcesitem na konkursie w lutym 1860 r., przedstawiona dwukrotnie przez amatorów na dochód ubogich, a obecnie przedstawiana jest w Teatrze Rozmaitości — Sprzedaje się w Drukarni Wydawcy i w księgarniach po kop. sr. 30.

Nakładem J. Ungra w Warszawie wyszło dzieło

W CZTERECH TOMACH

POD TYTUŁEM

WYKŁAD PISMA ŚWIĘTEGO

NOWEGO ZAKONU,

A MIANOWICIE:

WYKŁAD CZTERECH EWANGELIJ I DZIEJÓW APOSTOLSKICH

PRZEZ

KSIĘDZA WALERYANA SERWATOWSKIEGO,

byłego profesora Teologii w Tarnowie, Sekretarza Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, Członka Kommissyi Archeologicznej wileńskiej,

dedykowane JW^{mu} Metropolicie Arcy-biskupowi Warszawskiemu.

Najważniejszym zaiste w dziejach rodu ludzkiego i największej godnym uwagi zdarzeniem, jest życie Zbawiciela Świata Jezusa Chrystusa, i pierwsze początki utworzenia kościoła Jego. Któryż oświecenijszy chrześcianin nie pragnie z samego źródła zaczerpnąć wiedzę o życiu, naukach, cudach, o śmierci ofiarnej, o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, tego najdroższego naszego Pana, którego widzialna bytność na ziemi, nie tylko stała się wzorem prawdziwego postępu w udoskonaleniu ducha, dla każdego w szczególności człowieka, ale oraz już przez to samo wywarła tak niezmierny i widoczny wpływ na całe ludzkie plemię, iż z nim nie innego na ziemi w porównanie iść nie może? Przeto nie sami tylko duchowni, ale oraz i świeccy, głębszej religijnej szukający oświaty, i jak najsilniejszego w wierze przekonania powszechnie objawiali życzenie, mieć w ojczywym języku *Wykład Pisma Świętego*, któryby im ułatwił czytanie i zrozumienie onegoż. Widząc tedy tak wielką tego potrzebę i duchowny pożytek, a zupełny brak takiego dzieła w polskim języku, podjął się ksiądz W. Serwatowski tej pracy, i przy łasce Bożej do skutku ją doprowadził, gdyż najważniejsza jej część, to jest wykład całego Prawa Nowego Zakonu, została już wydana, a powtórne wydanie *Wykładu Czterech Ewangelji i Dziejów Apostolskich* okazało się potrzebne. W tym wykładzie, nie będącym tłumaczeniem, ale oryginalną pracą, usiłował autor mową zwięzłą i popularną, nie tylko rozgmatwać wszelkie zawilosci, bądź ze wschodniego sposobu mówienia i pisania, bądź z ówczesnych mniej nam znanych zwyczajów i stosunków towarzyskich wynikające, ale oraz objaśniać i udowadniać zasady wiary świętej, i wznosić ducha czytelnika do Boga, i do zamilowania świętej chrześciańskiej doskonałości. Chcąc usłużyć polskiej publiczności nakładem tego dzieła, wydałem je poprawnie i ozdobiłem w czterech tomach, mając nadzieję, iż liczni nabywcy poszukiwanej i pozytywnej pracy, postawią mnie w możności zajęcia się później powtórnie wydaniem Listów apostołskich i prac badawczych Ks. Serwatowskiego, w wykładzie Ksiąg Świętych Starego Przymierza.

WYKŁAD PISMA Ś. nabyć można w Drukarni Wydawcy i w Księgarniach Warszawskich i na prowincyi, po cenie 6 rsr.

J. Unger.

Nakładem Księgarni Polskiej

ADAMA DZWONKOWSKIEGO i spółki

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszedł zeszyt 4ty dzieła:

WIZERUNKI

KRÓLÓW I KSIĄŻĄT

Panujących w Polsce od Mieczysława Igo do Stanisława Augusta.

Zebrane i rysowane przez Al. Lessera; 40 portretów w formacie o połowę zmniejszonym niż galerja Królów Polskich, z tekstem. Cena zeszytu złp. 4 (kop. 60), każdy portret oddzielnie złp. 2 (kop. 30). Płacący **prenumeratę z góry**, otrzymują całe dzieło za 5 rubli srebrem; z przesyłką na prowincyę, za 6 rubli srebrem.

Galerja w wielkim formacie z obszernym tekstem Juliana Bartoszewicza, kartą tytułową chromolitografowaną przedstawiającą herby wszystkich ziem do dawniej Polski należących, kosztuje rs. 25. Egzemplarz ozdobnie oprawny, sprzedaje się za rs. 31.

Nakładem tejże Księgarni Polskiej wyszła w tych dniach **Mapa kolei żelaznych w Europie**, według najnowszych dat 1860 roku, przez A. Kozłowskiego skreślona. Cena egzemplarza bez o.rawy złp. 2 (kop. 30); oprawnego w kształcie książeczki złp. 3 gr. 10 (kop. 50) — **Miejscowości w loch i Sycylii** jest tak szczegółowo oznaczona, iż mapa ta dogodnie służyć może czytelnikom gazet do śledzenia ruchów wojennych w tych krajach.

Nakładem Zakładu artystyczno litograficznego tejże firmy, wyszedł **obrazek** przedstawiający **Chrystusa Pana na Krzyżu**; wykonany na kamieniu według obrazu Proudthoma przez L. Piechaczka. Cena gr. 20 (kop. 10) egzemplarzy 100 sprzedaje się po złp. 50 (rs. 7 kop. 50).

Szwajcarskie oryginalne LIEBEROWSKIE ZIOŁA ZDROWIA (Lieberische Gesundheits-Kräuter.) Znane od dawna z nader pomyslnych skutków przeciwko wyniszczeniu ciała, suchotom płucowym, katarowi, katarowi, bólowi piersi w różnych rodzajach, zaflegnieniu i t. p. dolegliwościom; działania których są pomocnemi każdej płci i wiekowi, a kuracya któremi w każdej porze, szczególnie letniej, miejsce mieć może, otrzymał obecnie świeże Skład rozmaitości Piotra Dąbrowskiego, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 385 (46) i takowe w paczkach pół-fun-

towych opieczetowanych wraz z przepisem użycia jak przychodzi, sprzedaje. Osobom na prowincyi i w Cesarstwie zamieszkałym, przesyłkę pocztą jak najakuratniej załatwia. Tamże jest do zbycia *Gazeta Warszawska* komplet z 20tu lat, tojest od 1 kwietnia 1860 roku do t. m. 1860 roku, oraz dzieła dramatyczne Bogusławskiego i inne teatralne.

FABRYKA BRĄZÓW i LAMP

KAROLA

BORATYŃSKIEGO.

przeniesioną została na ulicę Rymarską pod Nr. 741, w której dostać można gotowych wyrobów w najświeższymguście wykończonych, po cenach nader umiarkowanych. Fabryka ma zaszczyt donieść zarazem Osobom, które raczyły jej powierzyć nowe obstalunki jako i naprawę uszkodzonych przedmiotów, że takowe są do odebrania w nowym jej lokalu pod powyższym numerem

PIANINO

zagraniczne nowe i

FORTEPIANY

o siedm i pół siódmej oktawy,

w zupełnie dobrym stanie są do wynajęcia i sprzedania przy ulicy Stare-Miasto, jak główny trotuar, pod nrem 43, trzeci dom od ulicy Sto-Jańskiej jak flizy, w podwórzu na 1em piętrze drugie drzwi.

ZAKŁADY TECHNICZNE

LUDWIKA SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek,

zaopatrzone został przyodpowiedniej porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach, FARBY te, jak również i LAKIERY, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmiej nawet obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególnie zastosować się dają do robót dla osób zamieszkałych na prowincyi, gdzie większa trudność w dokładnym przyrządzeniu takowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdym naczyniu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią i etykietą zakładu.

POWOZY DO NAJĘCIA

każdego czasu,

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście

Nr. 34, w domu PP. Wizytek wprost

Saskiego Placu.

„Grand hôtel de belle Vue“

w mieście Bonn n. Renem

przy samym brzegu Renu, w bliskości kolei żelaznej i przystani statków parowych, poleca się wspaniałem i nader zdrowym położeniem swoim, czarującym widokiem na góry i nadreńską okolicę, zarazem eleganckim urządzeniem wszelkich wygod i wzorową usługą przy umiarkowanych cenach.

Bonn w maju 1860 r. N. Stamm, wdowa.

UWIADOMIENIE DLA PP. PIWOWARÓW.

Niżej podpisany ma zaszczyt polecić się pp. piwowarom z różnemi nieznanymi dotąd środkami najlepszego i najpraktyczniejszego wyrobu i zakonserwowania piwa lagrowego, które to ważne tajemnice odstąpi w każdym razie za wynagrodzeniem przy każdym punkcie po szczególne wymienionem.

1. **Nowy krótki i praktyczny sposób warzenia piwa**, gdzie w razie nawet słabego narostu siodu nadzwyczaj klarowne i smaczne piwo się udaje. Wynagrodzenie 10 tal.

2. **Skutecznie działający środek na klarowność piwa**, którego zastosowanie małych wymaga kosztów. Wynagrodzenie 5 tal.

3. **Sposób obchodzenia się z piwem lagrowem**, ażeby takowe w każdej temperatu-

rze przez rok jeden dobrze i bez zepsucia się przechować mogło, do czego nie potrzeba lodowni, zarazem, aby takowe piwo posiadało smak prawdziwego bawarskiego, nie potrzeba do tego żadnych aptecznych środków, tylko stosownego obchodzenia się z niem przy gotowaniu. Wynagrodzenie 15 tal.

4. **Tworzenie piwa dla kobiet**, aparat na 200 kwart kosztuje 3 talary. Przesyłki prób tegoż piwa uskuteczniają się za nadesłaniem 1 talara. Zaleca się ono zwłaszcza dla PP-właścicieli hotelów. Wynagrodzenie 20 tal.

Listy (w każdym języku) i pieniądze uprasza się nadsyłać franco.

Hollack, piwowar w Burkerdorfie, przy Ostritz w Saksonii.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 16 (28) lipca 1860 r. — Starszy cenzor, F. Sobieszczański.

Redakcja przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek